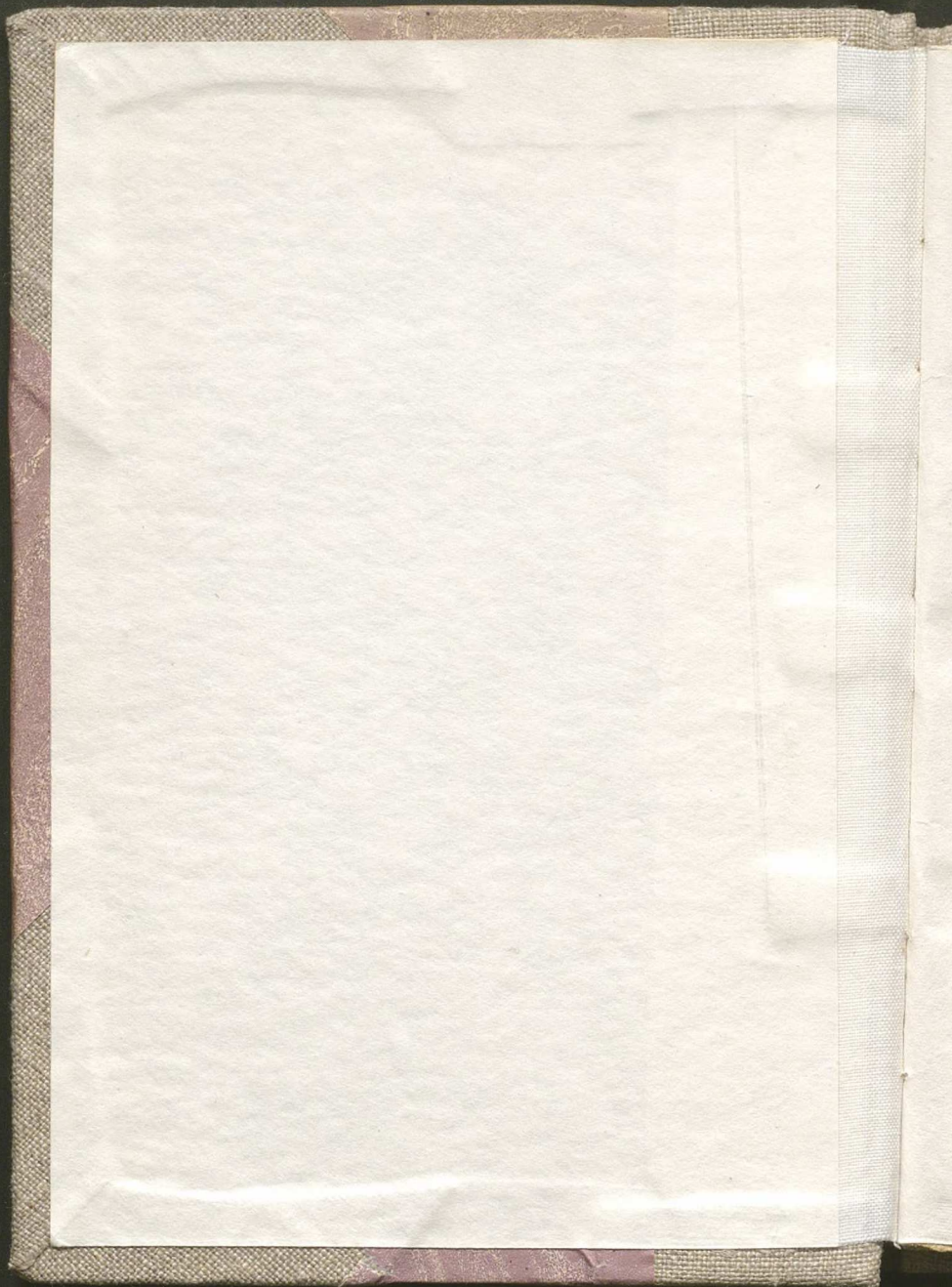
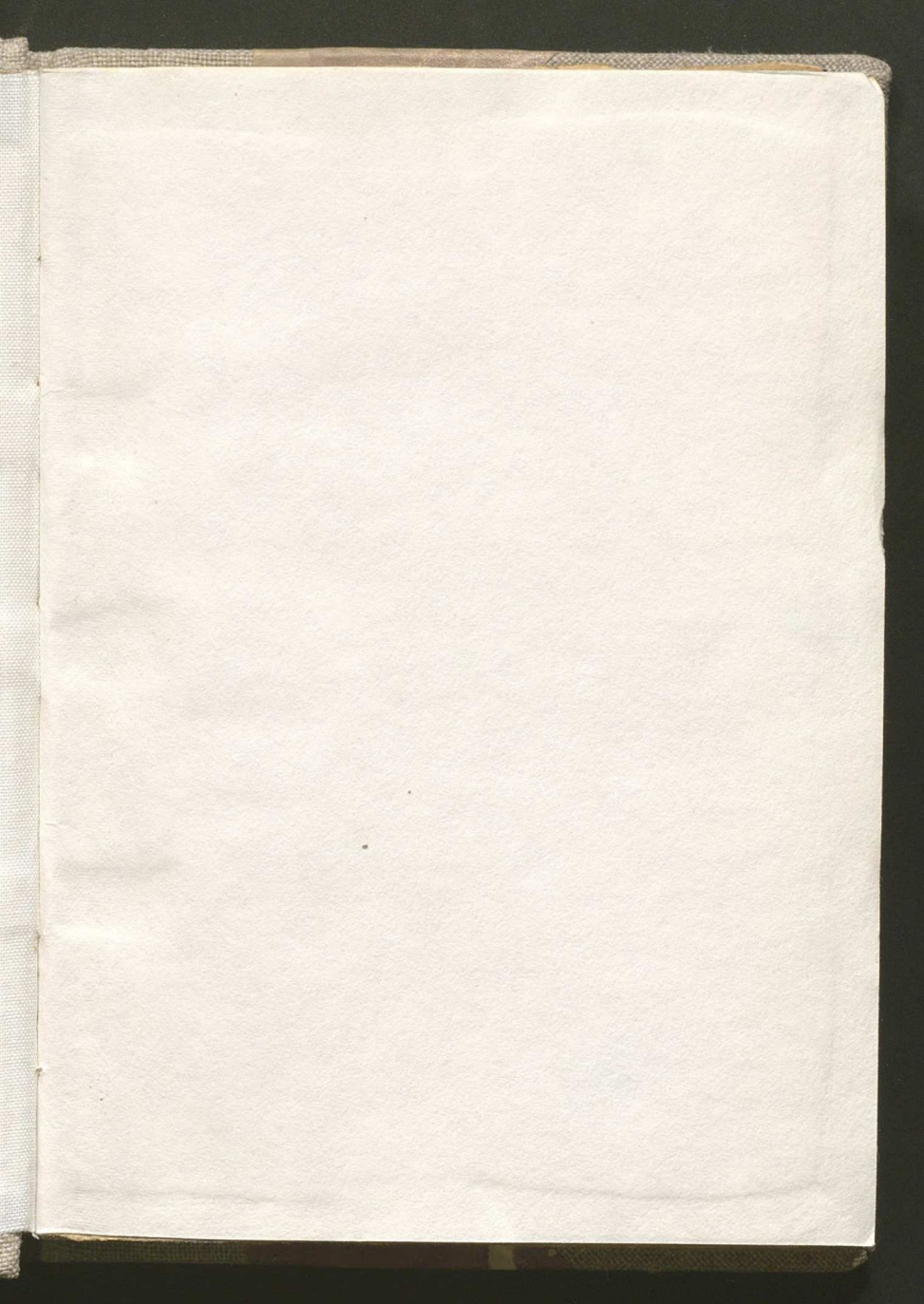
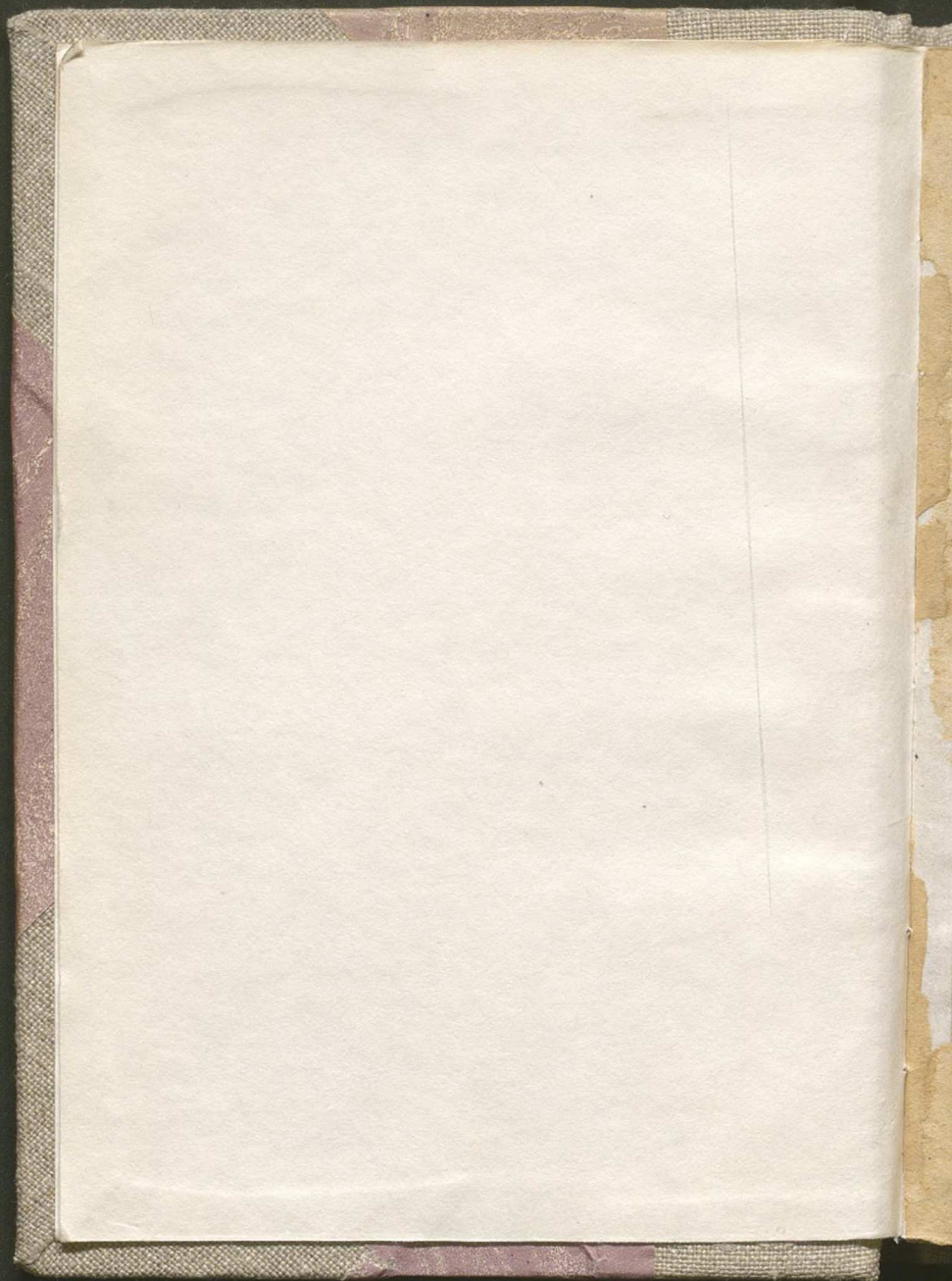


292750









F. 292.750

ŚWIAT ZAGINIONY

J-I-15

CONAN DOYLE

# ŚWIAT ZAGINIONY

Tłumaczenia autoryzowane

A. SPERO



*Mocen*

SKŁAD GŁÓWNY  
W STOWARZYSZENIU PRACOWNIKÓW KSIĘGARSKICH  
Spółka z ogr. odp.



WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

I. 292.750

*Handwritten scribble or signature, possibly "M. K."*

1962 K 777/12



## ROZDZIAŁ I.

### *„Nigdy nie brakuje okazji“.*

Jej ojciec p. Hungerton, był doprawdy najbardziej nietaktownym człowiekiem w świecie; okrągły, pulchny, w gruncie rzeczy dobroduszny, należał do ludzi zajętych wyłącznie swoim własnym, płytkim, „ja“. Gdyby cokolwiek było w stanie zrazić mnie do Gladys, to bezwątpienia zraziłaby mnie możliwość posiadania takiego teścia. Osobnik ten w głębi duszy żywił przekonanie iż przyjeżdżam do Chestnut, trzy razy w tygodniu po to aby cieszyć się jego towarzystwem i wysłuchiwać jego tyrad na temat bimetalizmu — w której to dziedzinie p. Hungerton był powagą.

Tego wieczoru przez godzinę już przeszło słu-chałem jego monotonnego głosu, którym wykladał jak zły pieniądz wypiera z obiegu dobry, lub tłomaczył odnośną wartość srebra, dewaluację pieniądza, i niezachwiane prawa wymiany.

— Wyobraźmy sobie — zawołał głosem, któremu starał się nadać cechę uniesienia — wyobraźmy sobie że wszyscy wierzący światu zażądają nagle i jednocześnie zwrotu swoich należności, nastając na bezzwłoczną spłatę, jakież, — biorąc pod uwagę nasze obecne warunki, — jakież będzie rezultat podobnego kroku?

W odpowiedzi zauważyłem iż osobiście byłbym człowiekiem zrujnowanym, na co p. Hungerton zerwał się z krzesła, i, wylajawszy mnie za płytkość, która uniemożliwiła wszelką poważniejszą rozmowę ze mną, poszedł się przebrać, gdyż miał tego wieczora uczestniczyć w Masońskim zebraniu.

Nareszcie znalazłem się sam na sam z Gladys; chwila decydująca nadeszła! Przez cały ten wieczór czułem się jak żołnierz, szarpany nadzieją zwycięstwa i obawą porażki, a oczekujący jedynie sygnału aby rzucić się w wir nieuniknionej walki.

Hardy, delikatny profil Gladys odcinał się jasno na tle ponsowej kotary. Jakżeż piękna była moja ukochana! Ale jak daleka!

Chciałem już przerwać długie i nużące milczenie, gdy Gladys podniosła na mnie spokojne spojrzenie i potrząsając główką z wyrazem łagodnej nagany rzekła.

— Przeczuwam iż chcesz mi się oświadczyć Nedzie — i doprawdy wołałabym abyś tego nie czynił i pozostawił stosunki nasze na tej stopie na jakiej się znajdują.

Przysunąłem się nieco bliżej do niej.

— Jakżeż odgadłaś że mam zamiar oświadczyć ci się? zapytałem zdumiony.

— Czyż kobieta może tego nie odgadnąć? Podobna okoliczność nie bywa dla kobiety nigdy niespodzianką. Ale nasza przyjaźń była tak piękna, i tak miła, że nie powinienes jej niszczyć. Czyż nie zachwyca cię ta myśl, że mężczyzna i kobieta mogą obcować z sobą tak otwarcie, tak prosto jak myśmy obcowali?

— Nie Gladys. Obcować otwarcie i prosto mogę i z naczelnikiem stacji (nie wiem doprawdy w jaki sposób poważny ten urzędnik wniósł się do naszej rozmowy, pobudzając nas do wesołości) Takie obcowanie nie zadawalnia mnie wcale. Chciałbym otoczyć cię ramieniem, złożyć twoją głowę na mojej piersi, chciałbym...

Ale Gladys podniosła się z krzesła, widząc iż usiłuje urzeczywistnić moje pragnienie.

— Wszystko się popsuło, Nedzie — rzekła — co za szkoda doprawdy łamać naszą starą, dobrą przyjaźń przez podobne wyskoki. Dlaczego nie potrafisz panować nad sobą?

— To miłość — broniłem się — przecież nie ja ją wymyśliłem, ale jest to uczucie naturalne i nieuniknione.

— Miłość wzajemna może być cudowną. Ale co do mnie nie odczuwałam jej nigdy.

— Ale musisz ją odczuć Gladys. Ty taka piękna i taka uduchowiona jesteś przecież stworzona do miłości!

— Na miłość trzeba czekać aż raczy nadejść.

— Ale czemu nie mogłabyś pokochać mnie właśnie? Czy moja powierzchowność stoi na przeszkodzie?

Gladys zawahała się przez chwilę, potem wyciągnęła rękę i miękkim, pełnym wdzięku ruchem przechyliła w tył moją głowę. Przez chwilę przyglądała mi się z pełnym powagi, miłym uśmiechem.

— Nie — rzekła wreszcie — to nie powierzchowność. Nie jesteś próżnym więc śmiało mogę ci to powiedzieć. To coś innego, coś głębszego.

— Mój charakter?

Surowo skinęła głową.

— A więc jak mam się zmienić? Usiądź tu przy mnie Gladys, porozmawiajmy. Nie, nie, przyrzekam że będę grzeczny ale usiądź.

Rzuciła mi spojrzenie, którego nieufność pochlebiła mi znacznie więcej niż jej poprzednie kompletne zaufanie. Uczucie to ujęte w słowa i wyrażone tak czarno na białym wydaje mi się dziwnie prymitywnem i zwierzęcem, ale może jest właściwością wyłącznie tylko mojego charakteru.

Gladys usiadła.

— A więc teraz powiedz mi czemu ci się nie podobam?

Kocham innego — odparła.

Teraz ja z kolei zerwałem się z krzesła.

— Ten inny nie istnieje — uspokoiła mnie ze śmiechem — kocham się w ideale którego wcielenia dotychczas nie spotkałam.

— A więc powiedz mi coś o tym ideale. Przedewszystkiem jak wygląda?

— Przypuśćmy że wygląda tak jak ty.

— Gładys jesteś okropnie kochana. Ale powiedz mi co potrafi ten człowiek czego ja nie potrafię? Określ mi go jednym słowem: wegeterjanin, aeronauta, teozof, nadczłowiek — wszystkiego się podejmę, jeśli tylko powiesz mi co ci się podoba.

Ta nadzwyczajna płynność mego charakteru i gustów wywołała uśmiech na ustach Gładys.

— A więc przedewszystkiem — rzekła — mój ideał nie przemawiałby nigdy tak jak ty w tej chwili. Byłby to napewno człowiek poważniejszy, energiczniejszy od ciebie, niezbyt skory do ulegania kapryśnawemu naiwnemu dziewczęciu. Przedewszystkiem byłby to człowiek czynu, stalowej siły, człowiek który, bez lęku umiałby patrzeć w twarz śmierci, człowiek, któryby dokonał czegoś wielkiego i niezwykłego. Nie jego bym kochała, ale tę sławę otaczającą go jak aureolą i rzucającą promienie swoje i na mnie. Pomyśl o Ryszardzie Burton! Czytając jego biografię, napisaną przez żonę, rozumiem cały ogrom jej miłości ku niemu. Albo lady Stan-

ley? Czy znasz te wspaniałe karty jakie poświęca swemu mężowi? Oto są mężczyźni, których może uwielbiać kobieta, będąc im zarazem równą przez siłę swej miłości, podziwiana przez cały świat iż umiała natchnąć podobnych bohaterów.

Była tak prześliczną w swem podnieceniu, że o mało nie złamałem danej przed chwilą obietnicy, ale przemógłszy się, starałem się zbić jej argumenta.

— Nie każdy rodzi się Stanley-em lub Burtonem — odparłem — a zresztą niejednemu brakuje po temu okazji. Mogę to śmiało powiedzieć o sobie. A wiem że nie omieszkałbym z niej skorzystać.

— Okazji nigdy nie brakuje. Miarą mężczyzny jest to że je stwarza. Prawdziwy mężczyzna nie zna przeszkód. Nie spotkałem nigdy jeszcze prawdziwego mężczyzny ale mam o nim zupełnie wyrobione pojęcie. Życie obfituje w takie okazje i jeśli zadaniem mężczyzny jest je wyzyskać, to szczęście kobiety zasadza się na wynagrodzeniu miłością takiego heroizmu. Przypomnij sobie tego Francuza który w zeszłym tygodniu odbył podróż balonem; pomimo ohydneho wiatru puścił się w drogę, aby wypełnić to co zapowiedział. W ciągu dwudziestu czterech godzin wiatr odrzucił go na 1500 mil, tak że musiał splanować gdzieś w centralnej Rosji. O takim mężczyźnie myślę. Ta kobieta, którą on kochał musiała być przedmiotem zazdrości innych kobiet. A ja także pragnę, aby mi zazdroszczono mojego wybrańca.

— Byłbym gotów ważyć się na to samo aby uzyskać twoje uznanie.

— Ale nie powinienes robić tego li tylko dla mnie! Ja chciałabym aby to dążenie do sławy było w tobie wrodzonym, nieprzepartym instynktem. Na przykład opisując w zeszłym miesiącu wybuch w kopalni Wigon, czyż nie mogłeś pośpieszyć na ratunek tym nieszczęśliwym bez względu na niebezpieczeństwo?

— Byłem tam.

— Nie wspomniałeś mi o tem ani słowa.

— Nie uważałem za stosowne chwalić się.

— Nie posadzałam cię o podobną odwagę — zauważyła, a w spojrzeniu jakie rzuciła na mnie błysnęła jakby iskierka uznania.

— Musiałem się na nią zdobyć. Niepodobna napisać dobrego sprawozdania jeśli się nie było samemu na miejscu wypadku.

— Co za prozaiczna przyczyna! Odziera twój postępek z całego uroku. W każdym jednak razie cieszę się że byłeś w tej kopalni — z temi słowy wyciągnęła do mnie rękę ale gestem tak pełnym powagi i godności że ośmieliłem się tylko przycisnąć wargi do jej dłoni — być może — szepnęła — iż jestem egzaltowaną dziewczyną, ale te moje poglądy tak zrosły się ze mną, że nie potrafiłabym się ani wyrzec ich ani zapanować nad nimi. Jeśli wyjdę zamaż to tylko za człowieka sławnego.

— Czemu nie? — zawołałem — podobne tobie kobiety pobudzają mężczyzn do czynu. Wskaż mi jaką okazję a ręczę ci że jej nie ominę. A zresztą masz słuszność że mężczyzna szuka okazji a nie czeka na nią. Clive był skromnym urzędnikiem a podbił Indje. Przyrzekam ci że i ja jeszcze czegoś dokonam!

Moja Irlandzka zapalczywość ubawiła Gladys.

— Wierzę ci — rzekła — masz wszystkie dane po temu: młodość, zdrowie, siły, wykształcenie, energję. Było mi przykro żeśmy zaczęli tę rozmowę, ale teraz cieszę się serdecznie — cieszę się ponieważ zbudziła w tobie tyle nowych myśli.

— A jeżeli uda mi się...

Ciepła, miękka jak aksamit ręką Gladys, zamknęła mi usta.

— Ani słowa więcej. Już od półgodziny powinienem być w redakcji, ale nie miałam serca przypominać ci o tem. Kiedyś, gdy wywalczysz sobie zaszczytne stanowisko, powrócimy do naszej rozmowy.

I oto czemu, gdym w ten mglisty listopadowy wieczór wracał tramwajem do redakcji, serce biło mi a cała dusza gorzała niezłomnem postanowieniem przedsięwzięcia natychmiast czegoś takiego, coby mnie uczyniło godnym mej ukochanej. Któż jednak mógł wówczas przewidzieć jak niezwykle będzie ten czyn i jak dziwną drogą, wiodącą ku niemu?



Być może iż ten wstępny rozdział wyda się zupełnie zbędny moim czytelnikom, a jednak bez niego nie byłoby niniejszej książki. Człowiek bowiem mocen jest oderwać się od znanego sobie życia i rzucić się w obcy świat, gdzie nań czekają wielkie niebezpieczeństwa i wielkie nagrody, dopiero wówczas gdy zbudzi w sobie przekonanie że zadaniem jego jest dokonać czegoś wielkiego w życiu. Ja, który byłem wówczas skromnym piórkim w redakcji „Gazety Codziennej” postanowiłem niezwłocznie, tejże samej nocy odważyć się na czyn, któryby mi dał możliwość zdobycia mojej Gładys. Czy ta gotowość do narażenia mojego życia dla zadowolenia własnej ambicji była z jej strony egoizmem czy lekko-myślnością. Nad takim pytaniem może się zastanowić mężczyzna czterdziestoletni ale nigdy młodzieńiec lat dwudziestu trzech, płonący ogniem pierwszej miłości.

---



## ROZDZIAŁ II.

### *„Spróbuj szczęścia z profesorem Challenger“.*

Lubiłem szczerze naszego redaktora, pana Mc Ardle, zgarbionego, łysego staruszka, i miałem wrażenie że i on mnie lubił. Prawdziwym szefem był Beaumont, ale przebywał on stale na jakichś olimpijskich wyżynach, skąd dostrzegał jedynie rzeczy tak wielkie, jak kryzys rządowy lub zachwianie równowagi międzynarodowej. Niekiedy przechodził mimo nas do swego sanktuarjum, a błędne jego oko i oderwany umysł zdawały się stale przebywać na Bałkanach lub w cieśninie Perskiej. Był nad nami i poza nami jednocześnie. Mc Ardle jego prawa ręka załatwiał wszystkie nasze sprawy.

Ujrzawszy mnie wchodzącego do pokoju, staruszek skinął mi głową i podniósł binokle z oczu na środek łysego czoła.

— No panie Malone, słyszę że daje pan sobie

bardzo dobrze radę — rzekł do mnie swoim miłym szkockim akcentem.

Podziękowałem mu.

— Sprawozdanie z wybuchu w kopalni było bardzo dobre, tak zresztą jak i opis pożaru w Sauthwark. Trzeba panu przyznać prawdziwy talent deskrypcyjny. Ale co za interes miał pan dzisiaj do mnie?

— Chciałem pana o coś prosić.

W oczach jego, utkwionych we mnie, błysnęło zdumienie.

— No, no, o co chodzi?

— Czy nie zechciałby pan, panie redaktorze, poruczyć mi jaką misję z ramienia naszego pisma? Dołożyłbym wszystkich starań aby wywiązać się dobrze z zadania.

— Niech pan określi bliżej rodzaj tej misji, panie Malone.

— Pragnąłbym wziąć udział w takiej, któraby była połączona z jaknajwiększą sumą niebezpieczeństw. Upewniam pana że zrobiłbym wszystko co jest w mojej mocy aby pana zadowolić. Im więcej niebezpieczeństw tem chętniej się ich podejmę.

— A więc tak się panu śpieszy aby stracić życie?

— Aby znaleźć cel życia, panie redaktorze.

— Hm, młody przyjacielu, wydaje mi się pan dosyć egzaltowany. Ale muszę panu powiedzieć że czas takich misji już przeszedł. Rezultaty ich są zbyt nikłe w stosunku do wydatków, jakie za sobą pociągają, no i rzecz oczywista iż na ich czele mógłby stanąć człowiek z wyrobionem nazwiskiem, wzbudzający zaufanie ogółu. Niestety przestrzenie dotychczas oznaczane jako nieznanne na mapie, zostały już oddawna zwiedzone i opisane. Jednakowoż — dodał po chwili z nagłym uśmiechem — te słowa o misjach naprowadza mnie na pewną myśl, co pan sądzi o zdemaskowaniu i ośmieszeniu takiego współczesnego Mjünchhausena? Przedstawienie go w kłamcę jakim jest w istocie. Jak się panu podoba taka idea?

— Wszystko mi jedno co to będzie, gdzie i jak. Mc Ardle pograżył się na parę chwil w myślach.

— Przedewszystkiem musiałby pan zbliżyć się do tego gościa, lub przynajmniej wymóc na nim parę chwil rozmowy — rzekł wreszcie — nie można panu odmówić talentu w obcowaniu z ludźmi i zdobywaniu ich sympatyj. Nie wiem czy jest to specjalny czar młodości, czy jakiś rodzaj magnetyzmu czy jeszcze co innego, ale ja sam doświadczam tego w stosunku do pana.

— Dziękuję panu redaktorowi.

— Czemuż więc nie miałby pan spróbować szczęścia z prof. Challengerem?

Przyznaję iż byłem zdumiony.

— Profesor Challenger — powtórzyłem — ten słynny zoolog? Czy to ten sam który pokaleczył Blundella, reportera z „Telegrafu“?

Redaktor uśmiechnął się drwiąco.

— Cóż to szkodzi? Wszak pan sam twierdził przed chwilą że pan szuka niebezpieczeństw.

— Moje pytanie było natury czysto informacyjnej, — odparłem.

— Nię inaczej je zrozumiałem. Nie przypuszczam zresztą aby profesor był zawsze tak gwałtowny, Blundell trafił na nieodpowiednią chwilę, lub też nieźgrabnie wziął się do rzeczy. Pan będzie miał więcej szczęścia lub więcej taktu. Mam wrażenie że się to panu uda, a byłaby to cenne gratka dla naszej „Gazety“.

— Ale — zauważyłem — nie wiem nic o tym profesorze. Pierwszy i jedyny raz słyszałem o nim gdy Blundell wytoczył mu sprawę o pobicie.

— Osoba profesora interesowała mnie trochę, to też dostarczę panu pewnych danych o nim — z temi słowy redaktor wyciągnął jakąś notatkę z szuflady biurka. Mam tu jego króciutki życiorys, czytam go panu:

„Challenger, Jerzy Edward. Urodzony w Largs w 1863. Wykształcenie pobierał w Akademji w Largs i w Uniwersytecie w Edyburgu. W r. 1892 był

asystentem dyr. Muzeum Brytyjskiego, w 1893 Kierownikiem Wydziału Antropologii Porównawczej. Zrzekł się tego stanowiska w tym samym roku, po wymianie cierpkich listów z dyrekcją. Nagrodzony medalem Crayston za prace w dziedzinie zoologii. Jest członkiem następujących towarzystw naukowych zagranicznych — „cała masa nazw. zajmujących kilka wierszy drobnego druku“ — Société Belge, Amerykańska Akademia Nauk, La Plata, etc. etc. Ex-prezydent T-wa Paleontologicznego, Sekcji H. Stowarzyszenia Wielkobrytańskiego“ no i tak dalej, tak dalej. „Wydał następujące prace: Kilka uwag o budowie czaszki Kałmuków“, „Studja nad rozwojem kości pacierzowej“ oraz wiele broszur, z pośród których jedna, a mianowicie „Sofizmaty Weismannizmu“ wywołała gorącą dyskusję na Kongresie Zoologów w Wiedniu. Ulubionymi rozrywkami profesora są spacer i sport alpejski. Adres: Emmore Park, Kensington, W“.

— Proszę weź pan tę notatkę. Nie mam dziś żadnego innego polecenia dla pana.

Wsunąłem papier do kieszeni.

— Jeszcze chwileczka panie redaktorze — rzekłem, zauważywszy iż mam przed sobą już nie rumianą twarz mego szefa, lecz jego różową, łysą głowę — nie zdaję sobie wyraźnie sprawy w jakim celu mam starać się o interview z tym profesorem. Czegoż to on dokonał?

Czerwona twarz ukazała się znów przedemną.  
— Przed dwoma laty udał się do Ameryki Południowej na samotną ekspedycję. Wrócił w zeszłym roku. Nie ulega wątpliwości iż był ostatnio w Ameryce Południowej, ale nie chce powiedzieć gdzie. Początkowo opowiadał o swoich przygodach i odkryciach, lecz przyłapany na jakichś niedokładnościach zamknął się w sobie jak ostryga. Są dwie alternatywy: albo przytrafiło mu się coś nadzwyczajnego, albo człowiek ten jest mistrzem łgarzy, i to ostatnie wydaje się znacznie prawdopodobniejszym. Na poparcie swych twierdzeń miał jakieś uszkodzone fotografie, które uważano za sfałszowane. Koniec końców facet stał się tak drażliwym że nie pozwalał sobie zadawać żadnych pytań a reporterów zrzucał ze schodów. Zdaniem moim jest to poprostu megaloman z manią naukową. Takim jest ten pański profesor, panie Malone, No a teraz niech pan ucieka i niech pan spróbuje coś wykombinować z całej takiej sprawy. Jest pan chyba w tym wieku, gdy mężczyzna nie potrzebuje opieki. Zresztą nic panu nie grozi. Mamy przecież ustawę, chroniącą urzędnika w trakcie wykonywania funkcji, związanych z jego zawodem.

Uśmiechnięta, rumiana twarz zmieniła się w różowawą gładziutką półkulę ocienioną jasnym nikłym puszkciem; audjencja była skończona.

Wyszłem z redakcji, kierując się w stronę mego klubu, ale zamiast wejść doń zatrzymałem się nad

rzeką, i, wsparty o żelazną balustradę wpatrywałem się długo w ciemne tłustawe wody. Najlepsze myśli przychodzą mi do głowy gdy jestem na świeżem powietrzu; wyjąłem więc notatkę dotyczącą profesora Challengera i przeczytałem ją w świetle latarni. I wówczas coś jak natchnienie błysnęło mi w mózgu: zrozumiałem że jako dziennikarz nie będę mógł nawet zbliżyć się do profesora. Ale czyż z króciutkiej jego biografii nie wynikało jasno że człowiek ten był fanatykiem nauki? Czy nie byłby bardziej dostępnym gdyby doń podejść pod jej pokrywką? Postanowiłem spróbować.

Weszłem do Klubu. Było trochę po jedenastej, i choć wielka sala nie była jeszcze pełna, jednak znajdowało się w niej już sporo osób. W fotelu przy kominku zauważyłem odrazu wysokiego, kościstego mężczyznę, który zwrócił się ku mnie, jak tylko zająłem miejsce obok. Był to człowiek na którym mi właśnie w tej chwili zależało: Henryk Tarp, współpracownik czasopisma „Przyroda“, chuda, sucha figura, ale w gruncie rzeczy, jeden z najlepszych, najuczynniejszych ludzi w świecie. Bez wstępów przystąpiłem do mojej sprawy.

— Czy pan słyszał o profesorze Challenger?

Challenger? — Tarp zmarszczył brwi z wyrazem nagany — Challenger wrócił niedawno z Ameryki, przywoząc stamtąd jakąś niesłychaną historję,

— Co za historję?



— Kompletny nonsens o jakichś zwierzętach które tam napotkał. Zdaje mi się zresztą że sam zorientował się co do możliwości tego co opowiadał. W każdym razie cofnął to wszystko. Na zebraniu u Rentera plótnł rzeczy w które sam nie mógł wierzyć. Była to wogóle skandaliczna sprawa. Z początku miał nawet zwolenników ale prędko ich zraził.

— Czem?

— Swoim niemożliwym zachowaniem i nieznośną szorstkością. Weźmy na przykład biednego Wadley'a, z Tow. Zoologicznego, który mu posłał następujące zaproszenie: „Prezes Inst. Zoologicznego przesyłając serdeczne pozdrowienie panu profesorowi Challenger, prosi go uprzejmie o zaszczytowanie swoją obecnością najbliższego zebrania Instytutu“. Odpowiedź Challengera była poprostu niecenzuralna.

— Naprzykład?

— Mówiono że brzmiała mniejwięcej w ten sposób: „Profesor Challenger przesyłając panu Prezesowi Instytutu Zoologicznego serdeczne pozdrowienie, prosi go uprzejmie aby się wyniósł do licha“.

— Wielki Boże!

— To samo wykrzyknął biedak Wadley. Przypominam sobie słowa z jakimi zwrócił się do zebranych: „w ciągu pięćdziesięciu lat mojej działalności naukowej“... — wydawał się do głębi wzburzony.

— Wie pan coś więcej o tym Challengerze?

— Jak panu wiadomo jestem bakterjologiem; faktycznie żyję w promieniu mikroskopu, i dlatego trudno mi należycie ocenić to, co widzę gołym okiem. Uważam się za żołnierza, wartującego na granicy zakreślonej przez siły wyższe ludzkiemu poznaniu, i czuję się bardzo nieswojo gdy muszę porzucić moje laboratorium i wejść między krzykliwe, wielkie, szorstkie ludzkie istoty. Nie lubię żadnych plotek jednak w ciągu rozmów naukowych słyszałem niejednokrotnie o Challengerze, bo należy on do tych ludzi o których nie można nie słyszeć. Jest to istotnie mądry człowiek — istna bateria naładowana siłą i żywotnością, ale kłótlivy, niewychowany, blagier, i w dodatku niezbyt skrupulatny. Przekroczył miarę temi rzekomemi fotografjami z Ameryki Południowej.

— Nazwał go pan blagierem, ale na czem zasa-  
dza się ta jego blaga?

— Nie na jednym, ale ostatnio wyraziła się w stosunku do Weissmanna i ewolucji. Zdaje mi się, że miał nawet z tego powodu wiele nieprzyjemności na zjeździe w Wiedniu.

— Może mi pan to wytłomaczyć o co to chodzilo?

— Trudno to powiedzieć w kilku słowach, ale mamy w redakcji sprawozdanie ze zjazdu w tłumaczeniu. Niech pan to przeczyta.

— Właśnie o to chciałem prosić. Mam zamiar wyjednać interjeweju tego gościa i muszę mieć jakiś powód po temu. Jest pan bardzo uprzejmy pomagając mi w tej sprawie. Chodźmy zaraz o ile nie jest zapóźno.

W pół godziny później siedziałem w redakcji „Przyrody“ przed olbrzymim tomem, otwartym na artykule: „Weissmann versus Darwin“ zatytułowanym dodatkowo: „Protęsty w Wiedniu. Gorące utarczki“. Ze względu, na moją, nieco zaniedbaną edukację, nie byłem w stanie zrozumieć całokształtu artykułu, ale jasnym było że angielski profesor potraktował temat w sposób nader agresywny, czem silnie uraził swych kolegów z Kontynentu. „Protęsty „Gwar“, „Odwołanie się do przewodniczącego“— były to słowa które przedewszystkiem rzuciły mi się w oczy. Co do treści artykułu, to czytając go, miałem wrażenie, jakgdyby w przeważającej części pisaný był po chińsku.

— Byłbym wdzięczny gdyby mi to pan przełożył na angielski — zwróciłem się patetycznie do mojego towarzysza.

— To już jest tłumaczenie.

— No to w takim razie spróbuję to zrozumieć w oryginale.

— Istotnie, dla laika jest to rzecz nieco za specjalna.

— Gdybym chociaż mógł stąd wyłowić jedną, dobrą, treściwą sentencję, wyrażającą jakąś jasną myśl ludzką! Ach, już jest. Ta mi wystarczy. Wydaje mi się że rozumiem ją w pewien mglisty sposób. Przepiszę ją sobie, i będzie ona moją gwiazdą przewodnią w drodze do straszego profesora.

— Czy mogę czemś jeszcze panu służyć?

— Owszem, chciałbym napisać do niego, i gdybym mógł stąd ten list wysłać, podając wasz adres, nadałoby mu to pożądaný charakter.

— Pański gość wpadnie tutaj, narobi hałasu, połamie nam meble.

— Nie, nie... pokażę panu list, i upewniam pana że nie będzie w nim nic rozdrażniającego.

— No więc oto moje biurko i fotel. Papier znajdzie pan tu. Chciałbym spojrzeć na list przed wysłaniem.

Ułożenie tego listu zajęło mi dosyć czasu, ale pochlebiam sobie że wypadł nienajgorzej. Z pewną dumą odczytałem go krytycznie nastrojonemu bakterjologowi.

„Szanowny Panie Profesorze — głosił list — jako zapalony badacz natury z żywym zainteresowaniem śledziłem Pańskie wywody co do różnicy między Darwinem a Weissmannem. Niedawno zagłębiłem się ponownie w tych zagadnieniach, odczytując powtórnie...

— Piekielny kłamczuchu! wtrącił Henryk Tarp.

— „odczytując powtórnie mistrzowski referat jaki Sz. pan Profesor wygłosił w Wiedniu. Jasna i wspaniała ta praca jest ostatnim słowem w tej dziedzinie nauki. Napotkałem tam wszelako jedno zdanie, które poniżej cytuję:

— „usilnie protestuje przeciwko nieuzasadnionemu i kompletnie dogmatycznemu twierdzeniu iż każde oddzielne „id“ jest samo w sobie mikrokosmem, o historycznej budowie, ukształconej powolnie przez cały szereg pokoleń“. Czy zważywszy ostatnie odkrycia, Pan Profesor nie skłaniałby się do zmiany powyższego twierdzenia? Czy nie uważa Sz. Pan iż jest ono wyrażone nieco za silnie? Niniejszem chciałbym prosić uprzejmie o udzielenie mi kilku chwil rozmowy, gdyż zastanawiając się głęboko nad tym tematem, doszedłem do pewnych wniosków, które pragnąłbym rozwinąć w osobistej rozmowie. Jeżeli Sz. pan Profesor nie ma nic przeciwko temu będę miał zaszczyt odwiedzić Go pojutrze (środa) o jedenastej w południe.

Łącząc wyrazy najgłębszego szacunku kreślę się uniżony sługa: Edward M. Malone“.

— No jak się panu podoba? zapytałem tryumfująco.

— Jeśli to zgadza się z pańskim sumieniem...

— Sumienie i ja jesteśmy dotychczas zawsze w zgodzie.

— Ale co pan chcesz zrobić?

— Dostać się do niego. Skoro raz będę w jego gabinecie, znajdę jakiś punkt oparcia. Może nawet posunę się do szczerzego wyznania. Jeśli ten człowiek jest sportsmenem to mój postępek może go ująć.

— Ująć, rzeczywiście! To on raczej ujmie pana pò swojemu. Radzę się zaopatrzyć w koleczugi, albo w amerykański strój footballowy. No, tymczasem do widzenia. Odpowiedź może pan odebrać we środe zrana — jeżeli wogóle raczy panu odpisać. Jest to gwałtowny, nieobliczalny człowiek, znienawidzony przez wszystkich, którzy z nim mają do czynienia, pośmiewisko studentów, o ile ośmielają się brać go za cel żartów. Kto wie czy nie byłoby lepiej dla pana, gdybyś pan o nim nigdy nie był słyszał.

### ROZDZIAŁ III.

*„Jest to człowiek zupełnie niemożliwy“.*

Nie było sądzonem, aby obawy czy nadzieje mego przyjaciela spełniły się. Przyszedłszy doń w środek rano zastałem już list ze stemplem. West Kensingtonu, imię moje wypisane było na kopercie charakterem, który przypominał sploty kolczastego drutu. Treść listu była następująca:

Enmore Park, W.

Panie, otrzymałem list pański, w którym popiera pan moje wywody, aczkolwiek nie sądzę aby potrzebowały bądź pańskiego bądź wogóle czyjegokolwiek poparcia. Pozwolił pan sobie użyć słowa „wywody“ określając moje badania nad teorią Darwina, które to słowo w podobnem zestawieniu jest poniekąd obraza. Będąc jednak przekonany że zgrzeszył pan raczej przez nieświadomość i brak taktu niżeli przez złośliwość, nie chcę rozwodzić się nad

tą sprawą. Przytacza pan z mego referatu jedno zdanie, którego nie może pan dokładnie zrozumieć. Byłbym skłonny mniemać, iż treść tego twierdzenia może się wymknąć jedynie osobnikowi o umysłowości niższej od przeciętnego poziomu, jeśli jednak słowa moje wymagają komentarzy jestem gotów przyjąć pana o naznaczonej przezeń godzinie, choć wszelkie wizyty tak jak i wszelcy goście są mi niezmiernie niemili. Co do Pańskiego przypuszczenia iż mógłbym zmienić moje zdanie, to muszę pana poinformować, iż nie leży to w moich obyczajach, wówczas gdym to zdanie rozważył i głosił. Zechce pan łaskawie pokazać kopertę tego listu memu służącemu Austinowi, który musi uciekać się do wszelkich środków ostrożności, aby chronić mnie przed natrętnymi nędznikami, nadającymi sobie miano „dziennikarzy“ Jerzy Edward Challenger“.

Taki to list odczytałem głośno Henrykowi Tarp, który tego dnia zjawił się wcześniej, aby dowiedzieć się o rezultacie moich starań. Jedyłą jego uwagę było: „sprzedają teraz jakieś nowe lekarstwo, cuticura czy coś w tym guście, które działa lepiej od arniki“. Niektórzy ludzie mają tego rodzaju dziwne pojęcie o dowcipie.

Było blisko pół do jedenastej, gdy wręczono mi list, ale dorożką samochodową przybyłem bez spóźnienia na oznaczony czas. Dom, przed którym się zatrzymałem miał wygląd imponujący, a wielki portyk, i ciężkie kotary świadczyły o zamożności



okropnego profesora. Drzwi otworzył mi dziwny, smagły, jakby zasuszony osobnik, niewiadomego wieku, ubrany w ciemną kurtkę szoferską i brunatne getry. Dowiedziałem się później, iż był on szoferem, pełniącym zarazem funkcję odprawianych kolejno lokai. Obejrzał mnie od stóp do głów bawczem, błękitnem okiem.

— Naznaczone widzenie? spytał.

— Tak jest.

— Ma pan list?

Wyciągnąłem kopertę.

— Dobrze.

Wydawał się człowiekiem małowównym. Gdy wesłem za nim przez korytarz zatrzymała nas nagle drobna kobietka, która wyrzała zza drzwi jadalnego, jak się później okazało, pokoju. Była przystojna, żywa, ciemnooka, podobna z typu raczej do francuski, niż do angielski.

— Przepraszam na jedną chwilę — rzekła — Austin proszę zaczekać. Niech pan wejdzie. Pozwolę sobie spytać, czy pan zna mego męża?

— Nie pani, nie mam przyjemności.

— W takim razie zawczasu za niego przepraszam. Muszę panu powiedzieć, iż jest to człowiek niemożliwy — absolutnie niemożliwy. Po takim uprzedzeniu będzie pan skłonniejszy do wyrozumiałości.

— Jest to bardzo uprzejmie z pani strony.

— Niech pan bezzwłocznie opuści pokój, jeżeli

maż zacznie się unosić. Niech się pan z nim nie sprzecza. Pokaleczył już za to parę osób. Później robi się z tego głośna sprawa, która odbija się na mnie, na nas wszystkich. Mam nadzieję, że to nie o Ameryce Południowej chce pan z nim rozmawiać?

Nie mogłem kłamać wobec kobiety.

— Mój Boże! toż to najniebezpieczniejszy temat. Jestem przekonana, iż nie uwierzy pan ani w jedno słowo, które panu powie, i nie dziwię się temu. Niech pan udaje, że pan wierzy, to wszystko przejdzie gładko. Niech pan nie zapomina, że on sam wierzy we wszystko co mówi. O tem mogę pana zapewnić. Niema na świecie uczciwszego odeń człowieka. Ale nie zwlekajmy dłużej, bo mógłby coś podejrzewać. Jeśli mój mąż stanie się niebezpiecznym — naprawdę niebezpiecznym — niech pan zadzwoni i niech pan się broni dopóki nie nadbiegnę. Zazwyczaj udaje mi się go uspokoić, nawet w najgorszych napadach.

Z tymi to, wzbudzającymi otuchę, słowy, pani domu powierzyła mnie znów, opiece milczącego Austina, którego w ciągu naszej krótkiej rozmowy, czekał jak śpiżowy posąg milczenia i dyskrecji, aby zaprowadzić mnie aż na koniec korytarza. Rozległo się pukanie we drzwi, jakiś pomruk z zewnątrz i znalazłem się w obecności profesora.

Siedział na ruchomym fotelu przed szerokim biurkiem, zarzuconem książkami, mapami i wykre-

sami. Kiedym wszedł określił się z krzesłem, aby spojrzeć na mnie.

Powierzchność jego uderzyła mnie. Przygotowany byłem ujrzeć osobistość niezwykłą, ale nie tak zdumiewającą! Jego wielkość, imponująca wielkość, przestraszała niemal. Głowę miał olbrzymią, największą głowę ludzką jaką w życiu widziałem. Jestem przekonany, że jego kapelusz, gdybym się kiedykolwiek był odważył go włożyć, ześlizgnąłby mi się na ramiona. Jego twarz i głowa przypominały assyryjskiego byka, cerę miał jasną; łopatowata zaś z kształtu broda, spływająca na piersi, była tak ciemna, że aż wpadała w odcień błękitny. Włosy miał dziwne, spadające jakimś kędziorem na masywne czoło. Oczy jego, pod gestwą czarnych, krzaczastych brwi, połyskiwały szaro-niebieskim blaskiem, bardzo jasne, bardzo silne, i bardzo przenikliwe. Olbrzymi zwał jego ramion i potężnie rozrośnięty tors, widniały nad biurkiem wraz z dwojgiem wielkich, pokrytych czarnym włosiem, rąk. Wszystkie te szczegóły wraz z grzmiącym, rykliwym, turkoczającym głosem — złożyły się na moje pierwsze wrażenie o słynnym profesorze Challenger.

— No i co? rzekł, obrzucając mnie aroganckim spojrzeniem — no i co teraz?

Czułem iż muszę opanować moje uczucia, gdyż w przeciwnym razie wywiad mój zakończy się niewłocznie.

— Pan był łaskaw naznaczyć mi na dzisiaj widzenie — rzekłem pokornie, pokazując mu koperte.

Wyciągnął z biurka mój list i położył go przed sobą.

— A, więc pan jest tym młodym człowiekiem, który nie rozumie po angielsku!

O ile się nie mylę zgadza się pan z moimi poglądami?

— Najzupełniej, panie profesorze, najzupełniej! — Byłem nader emfaticzny.

— Wielki Boże! Cóż to za zaszczyt dla mnie, nieprawdaż? Wiek pański i wygląd dają pańskiemu zdaniu wagę podwójną. No, w każdym razie jest pan więcej wart od tego całego stada świń w Wiedniu, których wspólne napaści nie są bardziej obraźliwe jak poszczególne ataki naszych angielskich wieprzaków.

Spojrzał na mnie, jak na przedstawiciela tego rodzaju zwierząt.

— Zdaniem moim zachowali się ohydnie — za-  
ważyłem.

— Upewniam pana że potrafię sam się bronić i nie potrzebuję pańskiego współczucia. Sam jeden wobec swoich wrogów Jerzy Edward Challenger czuje się najszcześniejszym. No mój panie, weźmy się do skrócenia, o ile możliwe tej wizyty, która

prawdopodobnie nie jest miłą dla pana, a jest nad wyraz nużąca dla mnie. O ile mi się zdaje ma pan pewne uwagi co do poglądów jakie wyraziłem w moim referacie?

To jego brutalne dążenie do celu mojej wizyty utrudniło wszelki wybieg. Trzeba było nadrabiać miną i wyczekiwać lepszej okazji. Z odległości wydawało się to znacznie łatwiejszem. Czyż irlandzki mój spryt nie wyratuje mnie z opresji wówczas, gdy tak gwałtownie potrzebowałem ratunku?

Profesor patrzył na mnie swymi ostrymi, stalowymi oczyma, mrużąc: „No więc, proszę, proszę“.

— Jestem zaledwie początkującym — zacząłem ze słabym uśmiechem — powiedziałbym raczej materiałem na badacza. Temniemniej jednak zdawało mi się, że był pan, profesorze, nieco surowym dla Weissmanna w całej tej sprawie. Czy od tego czasu wypadki nie — hm, nie przemawiają za jego twierdzeniami?

— Jakie wypadki? — spokój z jakim mówił, był niemal groźnym.

— No oczywiście zdaję sobie sprawę, iż nie zdarzyło się nic coby można nazwać rozstrzygającym. Miałem jedynie na uwadze ogólny zwrot myśli współczesnej, o gólny, że tak powiem, naukowy punkt widzenia.

Z wielką powagą pochylił się ku mnie.

— Wiadomem jest panu, jak się spodziewam, — zaczął, zaznaczając poszczególne punkty rozmowy kolejnym zaginaniem palców — że index czaszkowy jest stałym motorem?

— Oczywiście — odparłem.

— I że telegonja jest „sub judice“?

— Bezwątpienia.

— I że plazma zarodcza jest różną od jajka partenogenicznego?

— Ależ naturalnie — zawołałem, oczarowany własnym zuchwalstwem.

— Czegóż to jednak dowodzi? — zapytał uprzejmym, przekonywującym głosem.

— Istotnie — szepnąłem — czegóż to dowodzi?

— Czy mam panu powiedzieć? zagadnął.

— Ach, proszę.

— Dowodzi to — ryknął w nagłym ataku furji — że jesteś pan najbezczelniejszym oszustem w Londynie, — nędznym, nikczemnym dziennikarzem, mającym tyleż wiedzy co przyzwoitości!

Zerwał się na nogi z szaloną wściekłością w oczach. Ale nawet w tej chwili nerwowego napięcia zdumiałem się spostrzegłszy, iż był to człowiek zupełnie niskiego wzrostu. Sięgał mi zaledwie po ramię — cała siła żywotna tego wstrzymanego

w swym rozwoju Herkulesa, wyraziła się w szerokości ramion i w rozmiarach głowy.

— Nonsens — krzyczał wsparty dłonią o biurko, wykrzywiając konwulsyjnie twarz — wszystko com panu powiedział jest naukowym nonsensem! I pan doprawdy przypuszczał, że swoim ptasim rozumem może się mierzyć ze mną? Wyobrażacie sobie, nędzne pismaki, że jesteście wszechmocni, że wasza pochwała wznosi człowieka, a wasza nagana go poniża. Wszyscy powinni kłaniać się przed wami i żebrać o łaskawe słowo! Temu każecie stać na przednich łapach, tamtemu spuścić nos na dół. Nędzne płazy, znam was doskonale! Umiecie zadziierać głowy, choć nie tak dawno obcinano wam uszy. Zatraciliście wszelkie poczucie przyzwoitości. Nadeście balony! Ja wam dam nauczkę! Tak mój panie, nie zwyciężycie Jerzego Edwarda Challengeera! Niech choć jeden człowiek nie poniży się przed wami! Ostrzegalem was, ale skoro w dalszym ciągu lezicie do mnie, to musicie ponieść konsekwencje. Najście mego domu, mój łaskawco, to jest najście! Zagrał pan sobie w trochę niebezpieczną grę i zdaje mi się żeś ją pan przegrał.

— Pozwolę sobie zauważyć — rzekłem podchodząc do drzwi i otwierając je — że może pan być tak nieuprzejmym jak się panu podoba, ale wszystko ma swoje granice. Nie dam się tknąć.

— Nie da się pan? Powoli zbliżał się do mnie

w dziwnie groźny sposób, ale zatrzymał się i włożył obie ręce w kieszenie krótkiej, jakgdyby chłopięcej kurtki, którą miał na sobie — już kilku z was wyrzuciłem z mego domu. Pan bedziesz czwartym, albo piątym. Kosztuje to trzy funty piętnaście szylingów za każdym razem. Wydatek spory, ale niezbędny. Więc czemuż, mój panie, nie miałby pan pójść śladem swoich kolegów? Mnie się zdaje, że to pana nie ominie.

I ruszył znów ku mnie, stąpając na palcach, jak jaki baletnik.

Mógłbym się rzucić ku drzwiom sieni, ale byłoby to zbyt upokarzające. Przytem począł wzbierać we mnie uzasadniony gniew. Przed chwila, oskarżając mnie o oszustwo, miał zupełną słuszność, ale jego obecne groźby przeważyły szalę na moją stronę.

— Jestem zmuszony prosić pana o trzymanie rąk przy sobie. Nie zniosę podobnej obelgi.

— O tam do licha! — czarne jego wasy uniosły się nieco nad ustami, ukazując białe kły — nie znieśie pan?

— Niech pan nie robi z siebie durnia, profesorze, — zawołałem — co pan zamierza? Ja ważę 210 funtów, mam stalowe mięśnie, co sobotę ćwiczę w Londyńsko-Irlandzkim klubie, jako filar centrum i nie jestem człowiekiem, który...

W tej właśnie chwili rzucił się na mnie. Całe



szczęście, zem otworzył drzwi, bo inaczej bylibyśmy je wylamali. Wykonaliśmy jakieś straszne „salto mortale“ przez cały korytarz. Jakimś cudem zawadziliśmy po drodze o krzesło i porwaliśmy je za sobą na ulicę. Miałem usta pełne jego brody, trzymaliśmy się za bary, nasze ciała były splecione, a przekłete krzesło plątało się nam między nogami. Przewrotny Austin otworzył drzwi od sieni. Stoczyliśmy się po schodach na ulicę, niczem dwaj akrobaci w cyrku, ale jak się okazuje, trzeba mieć sporo praktyki, aby sztukę tę wykonać bez szkody dla siebie. Krzesło rozprysło się w kawałki na bruku, a my stoczyliśmy się do rynsztoka, Profesor zerwał się na nogi i, wygrażając mi pięściami, oddychał jak astmatyk.

— Dosyć? — warczał.

— Byku ohydny! — zawołałem, podnosząc się z ziemi.

Bylibyśmy się znowu spróbowali, bo wściekłość jeszcze go nie opadła, ale los wybawił mnie z przykrewj sytuacji. Policjant, z notesem w rękę, stanął obok nas.

— Co to znaczy? Jak panom nie wstyd — rzekł i była to, doprawdy, najrozsądniejsza uwaga, jaką słyszałem w Enmore Parku — proszę mi powiedzieć — nalegał, zwracając się do mnie — o co to poszło?

— Ten pan napadł na mnie — odparłem.

— Czy pan napadł? — zapytał policjant profesora.

Ten oddychał ciężko, ale milczał.

— To już nie pierwszy raz — rzekł policjant, surowo potrząsając głową, — w zeszłym miesiącu miał pan sprawę o to samo. Pan podbił oko temu młodemu człowiekowi. Czy pan wnosi skargę?

Zawahałem się.

— Nie — rzekłem — nie wnoszę.

— A to co znowu? — zdziwił się policjant.

— To moja własna wina. Naszedłem pana w jego domu, choć uprzedzał mnie.

Policjant zamknął notes.

— Poproszę o niezakłócanie spokoju publicznego — rzekł — proszę przechodzić, proszę nie stać! — te słowa zwrócone były do służącej, chłopca rzeźnickiego, i paru innych gapiów, którzy zebrali się wokół nas. Policjant, oddalając się ciężkimi krokami, pędził przed sobą to stadko. Profesor spojrział na mnie i jakiś cień wesołości mignął w jego oczach.

— Chodź pan ze mną — rzekł — chcę panu coś jeszcze powiedzieć.

W głosie jego brzmiała groźba, ale temniemniej wszedłem za nim do domu. Austin, jak drewniany automat, zamknął drzwi za nami.

## ROZDZIAŁ IV.

*„Jest to największa rzecz w świecie“.*

Zaledwie zdążył je zamknąć, gdy pani Challenger wybiegła z jadalni. Drobną kobietką była niesłychanie rozdrażniona. Zaszła drogę mężowi, co wyglądało tak, jakby rozdrażnione kurcze stanęło przed buldogiem. Najwyraźniej była świadkiem mojego wygnania, ale nie zauważyła mojego powrotu.

— Ty brutalu — krzyknęła — skaleczyłeś tego miłego chłopca.

Profesor wskazał na mnie wielkim palcem.

— Oto on, cały i zdrów stoi za mna.

Pani Challenger zmieszana się nieco, i nie bez powodu.

— Bardzo mi przykro, że nie zauważyłam pana — rzekła.

— Nic nie szkodzi, proszę pani.

— Mój mąż posiniaczył pana! Ach, Jerzy, jakież

z ciebie brutal. Przez cały tydzień nie robi nic, prócz awantur. Wszyscy wokół nienawidzą nas i wyśmiewają się z nas. Ale miara mej cierpliwości już się przebrała. Mam już tego dosyć.

— Sprawy rodzinne — zaczął profesor.

— To nie żaden sekret — przerwała mu żona — czy sądzisz, że cała ulica, ba, cały Londyn — Austin, proszę nas zostawić. Czy myślisz, że ludzie nas nie obmawiają? Czy masz jeszcze jakie poczucie godności? Człowiek taki jak ty powinien być profesorem w wielkim uniwersytecie, mając tysiące podziwiających go słuchaczy. Czy masz choć trochę miłości własnej?

— A ty, moja droga?

— Doświadczasz mnie zanadto. Stałeś się rozbójnikiem, prostym rozbójnikiem.

— Opamiętaj się Jessie.

— Wściekły hałaśliwy buldog!

— Tegó już za wiele. Będziesz ukarana.

Ku mojemu zdumieniu uniósł ją w górę i posadził na szczycie czarnej marmurowej kolumny, stojącej w rogu sieni. Kolumna miała przynajmniej pięć stóp wysokości i była tak cienka, że tylko z trudnością można było utrzymać na niej równowagę. Trudno sobie wyobrazić dziwniejszy widok nad ten, który przedstawiała pani profesorowa, zawieszona w powietrzu, przebijając nogami, z twarzą, wykrzywioną gniewem, czyniącą rozpaczliwe wysiłki, aby nie stracić równowagi.

— Zsadź mnie w tej chwili — wołała.

— Powiedz „proszę“.

— Ty brutalu, zsadź mnie w tej chwili.

— Chodźmy do gabinetu, panie Malone.

— Doprawdy, panie — rzekłem, patrząc na jego żonę.

— Oto pan Malone wstawia się za toba, Jessie. Powiedz „proszę“, a zsadzę cię.

— Ach, ty brutalu, no proszę, proszę.

Uniósł ją w powietrzu, tak, jakgdyby była piórkciem.

— Nie powinnaś się unosić, kochanie, pan Malone jest dziennikarzem, wszystko to, co słyszy, wydrukuję jutro w swej szmacie, a extra tuzin egzemplarzy kupią zaraz nasi sąsiedzi. „Oryginalna historia z życia High-life'u“ — przebywając na tym marmurowym piedestale mogłaś istotnie sięgać do wysokich sfer. Potem tytuł drugi „Rzut oka na oryginalną rodzinę“. Tak, jak wszyscy jego koledzy, pan Malone żywi się padliną i wszelkim brudem — „porcus ex grege diaboli“ — proszę z djabelskiego stada — oto czym jest Malone. Nieprawdaż?

— Pan jest doprawdy niemożliwy — zaprotestowałem gorąco.

Roześmiał się hałaśliwie.

— Będziemy tu mieli niebawem całą koalicję — rzekł, spoglądając kolejno to na mnie, to na swoją

żonę i preżąc swą olbrzymią pierś, poczem nagle, zmieniając ton, dodał:

— Niech pan zechce wybaczyć drobne nieporozumienia rodzinne, panie Malone. Sprowadziłem pana z powrotem dla poważniejszych celów, niż mieszanie pana do naszych figlów domowych. Uciekaj mała kobietko i nie martw się niczem. — Oparł swe wielkie ręce na jej ramionach i tak ciągnął dalej. — W tem, co mówisz, masz rację, byłbym prawdopodobnie znacznie lepszym, gdybym słuchał twoich rad, ale nie byłbym wówczas Jerzym Edwardem Challengerem. Jest wielu lepszych ode mnie, ale jest jeden tylko Jerzy Edward Challenger, więc staraj się z nim pogodzić.

I z temi słowy złożył na jej policzkach głośny pocałunek, który stropił mnie bardziej jeszcze, niż jego poprzednia gwałtowność.

— A teraz, panie Malone—ciągnął z nagłym napadem godności — poproszę pana tędy. — Powróciliśmy do pokoju, któryśmy przed dziesięciu minutami opuścili tak hałaśliwie. Profesor starannie zamknął drzwi za sobą. Wskazał mi fotel i podał pudełko z cygarami.

— Prawdziwy San-Juan-Colorado — rzekł. — Ludzie skłonni do podnieceń, tak jak pan, gustują w narkotykach. Na Boga, niech pan nie odgryza końca — niech go pan obetnie i to z należyłą atencją. A teraz niech pan siądzie wygodnie i wysłucha

to, co mam panu do powiedzenia. Jeżeli w trakcie mego opowiadania nasunie się panu jaka uwaga, zechce ją pan zachować na później. — Przede wszystkim, co do przyczyny pańskiego powrotu tutaj, po zupełnie usprawiedliwionem wyrugowaniu — urwał i głaszcząc brodę, spoglądał na mnie, jak ktoś, co spodziewa się protestu i czeka nań — więc, jak powiedziałem, wygnanie pańskie stąd było aż nadto usprawiedliwione, przyczyna zaś powrotu leży w odpowiedzi, jaką pan dał owemu policjantowi, zdawało mi się bowiem, że dostrzegam w niej przebliski szlachetniejszych uczuć, lepszych bądź co bądź, niż te, o które podejrzewałem dotychczas pańskich kolegów. Przyznając, iż wina całego tego incydentu leży po pańskiej stronie, wykazał pan pewną niezależność myśli i szerokość poglądów, które mnie zainteresowały. Osobniki rodzaju ludzkiego, do jakich pan, niestety, należysz, znajdowały się zawsze po za linią mojego myślenia. Dzięki swej uwadze przekroczył pan właśnie tę linię. Wzbudził pan we mnie zainteresowanie. Zdecydowawszy się poznać pana bliżej — wpuściłem go tutaj z powrotem. Zechce pan łaskawie strząsać popiół do japońskiej popielniczki, stojącej na bambusowym stoliczku po pańskiej lewej ręce.

Wszystko to wygłosił tonem profesora, zwracającego się do swojej klasy. Przekreściwszy ruchomy fotel, siedział teraz na wprost mnie, nadęty, jak

olbrzymia żaba. Głowę oparł na poręczy, a oczy wół przysłonił powiekami. Nagle odrzucił się z krzesłem w bok, ukazując najeżone włosy i kawałek czerwonego ucha. Szukał czegoś w nawale papierów, rozrzuconych na biurku i wreszcie zwrócił się znów do mnie, trzymając w ręku coś, w rodzaju mocno wysłużonego notatnika.

— Będę panu opowiadał o Południowej Ameryce — rzekł — wypraszam sobie jakiegokolwiek komentarze. I przedewszystkiem uprzedzam, że ani jedno słowo z tego wszystkiego co pan tu usłyszysz, nie może bez mojego specjalnego zezwolenia przedostać się w jakikolwiek bądź sposób do wiadomości publicznej. Zezwolenia tego prawdopodobnie nigdy panu nie udzielię. Czy zrozumiał pan mój warunek?

— Jest on nader uciążliwy — zauważyłem — upewniam pana, że dokładne sprawozdanie...

Położył notatnik na stole.

— Sprawa wyczerpana — rzekł — żegnam pana.

— Nie, nie, zaprotestowałem — przyjmuję pańskie warunki. Nie mam zresztą innego wyboru.

— Żadnego.

— W takim razie obiecuję milczeć.

— Pod słowem honoru?

— Pod słowem honoru.



Cień wątpliwości przemknął w jego zuchwałem spojrzeniu.

— Cóż ja mogę zresztą wiedzieć o pańskim honorze? — rzekł.

— Doprawdy, mój panie — zawołałem gniewnie — pozwala pan sobie za dużo! Jeszcze nikt w życiu tak mnie nie obraził.

Mój wybuch raczej go zajął, niż uraził.

— Typ okrągłogłowca — szepnął — brancefalistyczny, szaro-oki, ciemno-włosy, z lekkimi sładami negroidu. Pan musi być celtem?

— Jestem irlandczykiem, panie.

— Irlandczykiem?

— Tak jest.

— To wyjaśnia sytuację. Więc jednym słowem, zobowiązał się pan do zachowania tajemnicy moich zwierzeń? Muszę zauważyć, że nie będą one zupełne, ale dam panu kilka ciekawych wyjaśnień. Wiadomem jest panu zapewne, że przed dwoma laty odbyłem podróż do Ameryki Południowej, podróż, która w wszechświatowej historii nauki będzie miała znaczenie ogromne. Celem było sprawdzenie niektórych wniosków Wallace'go i Bates'a, co mogłem jedynie uczynić drogą obserwacji, w tych samych co i oni warunkach, opisywanych przez nich zjawisk. Ekspedycja moja byłaby godną uwagi, nawet gdyby nie dała żadnych innych, prócz tych wyżej wspomnianych wyników,

zbadane; wybrzeża tej rzeki zamieszkuje wielka liczba plemion, nieraz zupełnie nam nieznanych. Zadaniem mojem było zapuścić się w te okolice i poznać ale zdarzył mi się w jej trakcie przypadek, który otworzył przedemną zupełnie nowa dziedzinę badań.

— Słyszał pan zapewne — lub raczej w tym półinteligentnym wieku nie słyszał pan wcale — iż niektóre okolice Amazonki są tylko cześciowo ich faunę; dostarczyła mi ona materiału do kilku rozdziałów kolosalnego dzieła o zoologii, którego napisanie jest celem mojego życia. Po ukończeniu prac moich, zdarzyło mi się na powrotnej drodze nocować w małej wiosce indyjskiej—nazwę jej i dokładne położenie zachowuję dla siebie — leżące przy ujściu do głównej rzeki. Tubylcy należeli do plemienia Cucama, łagodnej, lecz zdegenerowanej rasy, której umysłowość nie przewyższa umysłowości przeciętnego Londyńczyka. Powiodło mi się między nimi parę kuracji, wówczas, gdy jadąc w górę rzeki, byłem wśród nich poraz pierwszy. Podniosło to tak moje znaczenie w ich oczach, że jak się przekonałem ze zdumieniem—oczekiwali niecierpliwie mojego powtórnego przybycia. Z mimiki ich domyśliłem się, iż znajdował się w wiosce ktoś potrzebujący pomocy lekarskiej i bezzwłocznie udałem się do wskazanej mi chatki. Chory jednak, do którego mnie wezwano, już umarł. Ku memu zdumieniu nie był on Indjaniniem lecz białym, można nawet

powiedzieć bardzo białym, zdradzał bowiem charakterystyczne cechy albinosa, a włosy miał koloru lnianego. Ubranie jego było w łachmanach, a wychudzona postać nosiła ślady ogromnego wyczerpania. Z opowiadań tubylców zdołałem wyrozumieć, że człowiek ten był im zupełnie nieznany. Samotny i wynędzniały przybył do ich wioski z pobliskich lasów. Obok jego posłania leżała podróżna torba, której zawartość dokładnie obejrzałem. Na metalowej tabliczce wewnątrz wyryte było imię, przed którym gotów jestem zawsze schylić głowę: Maple White, Lake Avenue, Detroit, Michigan. Nie przesadzę, twierdząc, że będzie ono równe mojemu własnemu, gdy istotne znaczenie tego odkrycia zostanie wreszcie ocenione.

Z zawartości torby wynikało jasno, że człowiek ten był poetą i artystą w poszukiwaniu wrażeń. Nie jestem sędzią w tej dziedzinie, ale wartość jego utworów wydała mi się nader licha. Znalazłem również parę dość pospolitych krajobrazków rzeki, pudełko farb, pudełko kredek, parę pendzli, tę zakrzywioną kość, która leży na moim kałamarzu, tom „Ćmy i Motyli“ Baxtera, tani rewolwer i nieco naboju. Żadnego ekwipunku osobistego nie miał, lub może zgubił go po drodze. Taki był cały ruchomy majątek tego oryginalnego amerykańskiego cygana.

Miałem już zamiar opuścić chatkę, gdy spostrzegłem ten notatnik, sterczący w kieszeni po-

dartej kurtki zmarłego; był w takim stanie, w jakim się znajduje obecnie, gdyż mogę pana upewnić, że pierwsze wydanie dzieł Szekspira nie mogłoby być traktowane z większym poważaniem, niż ten podarty notatnik od chwili, jak jest w moim posiadaniu. A teraz, proszę pana o przejrzenie go strona po stronie.

Zapaliwszy cygaro, profesor zagłębił się w fotelu i utkwił we mnie dwoje przenikliwych oczu, śledząc wrażenie, jakie wywrze na mnie ten dokument.

Otwarłem notatnik, spodziewając się znaleźć w nim rewelacje jakiejś, nieokreślonej bliżej, tajemnicy. Na pierwszej stronie jednak spotkało mnie rozczarowanie, zawierała bowiem jedynie rysunek nader grubego jegomościa z objaśnieniem, iż jest to „Jimmy Colver“. Kilka następnych stron przedstawiały Indian i ich obyczaje, później widniał obrazek dobrodusznego, korpulentnego mnicha w szerokim kapeluszu i napis „Śniadanie w Rosario z bratem Cristofaro“. Po szkicach kobiet i dzieci ciągnęła się cała serja zwierząt; każdy rysunek miał specjalne objaśnienie: „Żółwie i ich jajka“, „Czarny aguti pod palmami“ i wreszcie widniały podobizny jakichś długich i wstrętnych płazów. Nic się w tem wszystkim nie orientując, spytałem profesora:

— Czy to są krokodyle?

— Alligatory, panie! Wątpię, czy znajdzie się

choć jeden prawdziwy krokodyl w Ameryce Południowej. Różnica polega...

— Chciałem poprostu powiedzieć, iż nie widzę nic nadzwyczajnego w tych rysunkach. Nic coby usprawiedliwiało pańskie słowa.

Uśmiechnął się spokojnie.

— Niech pan ogląda dalej.

Czułem się rozczarowany. Odwróciwszy stronę, miałem przed sobą szkic pejzażowy, wykonany w dość ostrych kolorach, tak jak to zwykle czynią artyści, malując z natury studjum, które mają później starannie wypracować. Gęstwa jasno-zielonej roślinności stanowiła tło, na którym ostrą, ciemnoczerwoną linią odcinał się szereg bazaltowych, stromych skał; stanowiły one nieprzerwaną ścianę, w jednym punkcie, której unosił się samotny, do piramidy podobny złom, a na nim rosło olbrzymie drzewo, przedzielone, jak się zdawało, głęboką rozpadliną od głównej skały. A nad tem wszvstkiem błękitne, tropikalne niebo. Cieniutkie pasmo roślinności zieleniło się na rudawym szczycie skał. Na następnej stronicy znajdował się ten sam pejzaż, ale znacznie większy, tak, iż można było dokładnie różnić wszystkie jego szczegóły.

— No? — zagadnął profesor.

— Jest to formacja oczywiście ciekawa --- odzrekłem — gdybym był geologiem, pozwoliłbym sobie może nazwać ją nadzwyczajną.

— Nadzwyczajna — powtórzył — jest niesłychana, jest niewiarogodna. Czegoś podobnego wprost nie można sobie wyobrazić. Ale patrz, pan dalej.

Spojrzawszy na następną stronę, wydałem okrzyk zdumienia. Nigdy w życiu nie widziałem tak dziwnego potwora. Był to wytwór wyobraźni, podnieconej opium, gorączkowa wizja chorego umysłu. Stworzenie to miało głowę ptaka, korpus płaza, ogon najeżony kolcami, a wygięty jego grzbiet zdobiła obfita frendzla, podobna do nieskończonej ilości kogucich grzebieni, umieszczonych jeden tuż za drugim. Na wprost tego potwora, stał wpatrzony weń, śmieszny człowieczek, malutki, jak karzełek.

— Cóż pan o tem myśli? — zawołał profesor, pocierając ręce z wyrazem triumfu.

— Potworne — groteskowe.

— Ale czemu, skąd wymalował takiego potwora?

— Prawdopodobnie po pijanemu.

— Nie znajduje pan lepszego wytłómaczenia.

— A czemże pan to tłómaczy, profesorze?

— Poprostu tem, że zwierzę to istnieje. Było rysowane z natury.

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, ale przypomniałem sobie nasze niedawne zapasy atletyczne.

— No tak, mruknąłem tonem, jakiego się używa względem niebezpiecznego warjata — przyznam

jednak, że ta malusieńka postać ludzka zdumiewa mnie. Gdyby to był Indianin, przypuściłbym, że należy do jakiegoś karlego plemienia, ale jest to najwidoczniej Europejczyk w słomkowym kapeluszu.

Profesor zaczął sapać gniewnie.

— Doprawdy — rzekł — to już przechodzi wszelkie granice. Nie miałem pojęcia o czemś podobnem. To zakrawa na paraliż mózgu, na zanik władz umysłowych.

Był tak śmieszny, że nie mógł nikogo obrazić. Gniewać się na niego znaczyło tracić czas i energię, bo trzebaby było czuć się stale obrażonym. To też poprzestałem na słabym uśmiechu i uwadze, że rozmiar człowieka na rysunku zdziwił mnie.

— Niech pan spojrzy na to! — zawołał profesor, pochylając się ku mnie i kładąc na rysunku włochaty i gruby, jak serdelek palec — widzi pan tę roślinę za zwierzęciem? Czy pan myśli, że to kapusta brukselska, albo brodawnik? Toż to jest palma z gatunku dochodzącego pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu stóp. Nie rozumie pan, że ten człowiek znajduje się tu umyślnie? Przecież gdyby tak stał wobec podobnego potwora, to nie uszedłby z życiem, aby namalować swój obrazek. Artysta zrobił to, aby dać pojęcie o rozmiarach. Sam liczył, przypuścmy, pięć stóp, to też drzewo jest odeń dziesięć razy większe.

— Wielki Boże! — krzyknąłem — to w takim

razie sądzi pan, że zwierzę dochodziło.... nie, panie, przecież cały dworzec kolejowy w Charing Cross nie starczyłby mu za nore!

— W każdym razie jest to ciekawy okaz — odparł profesor.

— Temniemniej jednak — zauważyłem — trudno przekreślić cały dorobek naukowy ludzkości na podstawie zwykłego rysunku, wykonanego przez jakiegoś amerykańczyka pod wpływem haszyszu, może gorączki, a może poprostu chorobliwej wyobraźni. Jako człowiek nauki, nie może pan zająć podobnego stanowiska.

Z temi słowy przewracałem nadal kartki notatnika, ale były już czyste. W odpowiedzi profesor sięgnął po jakąś książkę.

— Oto doskonała monografia Roya Lancaster, mego przyjaciela — rzekł. Jest tu jedna ilustracja, która napewno pana zainteresuje. A, otóż ona. Jak głosi objaśnienie jest to przypuszczalny wygląd Dinosauria Stegosaura z okresu Jurajskiego. Rozmiar tylnej łapy równa się dwukrotnej wielkości dorosłego mężczyzny. Co pan powie na to?

Podał mi książkę. Ze zdumieniem spoglądałem na obrazek, który ładząco przypominał szkic nieznanego amerykańskiego artysty.

— Jest to istotnie nadzwyczajne — szepnąłem.

— Ale nie przekonywuje to pana?

— Może to być zwykły zbieg okoliczności, albo



też Amerykanin, widząc kiedyś podobną ilustrację, podświadomie zachował ją w pamięci i potem od-  
tworzył w gorączce.

— Doskonale — rzekł profesor — nie mówmy  
o rysunku, ale może pan obejrzy teraz tę kość.

Kość, o której już wspominał i która mi teraz  
podawał, była około sześciu cali długa i grubsza od  
mego wielkiego palca.

— Do jakiego stworzenia należy ta kość? —  
spytał profesor.

Przyglądałem się jej uważnie, starając się przy-  
wołać zapomnianą wiedzę.

— Mógłby to być bardziej gruby obojczyk  
ludzki — rzekłem.

Mój towarzysz wzgarliwie machnął ręką.

— Kość obojczyka ludzkiego jest zakrzywiona,  
ta zaś jest prosta. Żłobek, jaki pan dostrzega na jej  
powierzchni wykazuje obecność grubego ścięgna,  
co nie mogłoby mieć miejsca przy kości obojczy-  
kowej.

— No, to przyznaję, że nie wiem, co to jest.

— Nie potrzebuje się pan wstydzić swojej igno-  
rancji, bo cały instytut Kensingtonski nie mógłby  
dać odpowiedzi na to pytanie.

I wyjmując z niebieskiego pudełka kostkę wielko-  
ści ziarnka grochu, dodał:

— O ile mogę sądzić, ta kość ludzka odpowiada

tej, którą pan trzyma w ręku. Może da to panu pojęcie o wielkości potwora. Sądząc po szczątkach chrząstek, kość ta nie jest okazem kopalnianym, lecz zupełnie świeżym. Co pan powie o tem?

— Prawdopodobnie słoń...

Profesor skrzywił się boleśnie.

— Niech pan nic nie mówi o słoniach w Południowej Ameryce. Nawet w tych czasach szkół powszechnych....

— No to w takim razie — przerwałem — każde wielkie zwierze Ameryki Południowej, jak np. tapir?

— Upewniam pana, młodzieńcze, że znam się dobrze na mojej specjalności. To nie jest kość, ani tapira, ani żadnego zwierzęcia, znanego w zoologii. Należy ona do ogromnego, silnego i według wszelkiego prawdopodobieństwa, bardzo dzikiego zwierzęcia, które żyje, ale o którym nauka nic nie wie jeszcze. Czym pana jeszcze nie przekonał?

— W każdym razie bardzo mnie pan zainteresował.

— A więc sytuacja nie jest beznadziejna. Wyczuwam w panu pewną dozę zdrowego rozsądku, do którego będę się odwoływał. Pozostawimy zmarłego amerykańczyka, a wrócimy do mego opowiadania. Jak pan się łatwo domyśla, nie mogłem opuścić brzegów Amazonki nie zapoznawszy się bliżej z całą tą sprawą. Miałem wskazówki co do

kierunku skąd przybył zmarły. Indyjskie legendy byłyby mi zresztą nicją przewodnią, gdyż wśród plemion zamieszkujących wybrzeża rzeki, słyszałem nieraz opowiadania o dziwnym kraju. Wiepan co to jest Curupuri?

— Nie.

— Curupuri jest to duch puszczy, uosobienie czegoś strasznego, złego, czegoś czego należy się wystrzegać. Nikt nie potrafi go bliżej opisać, ale imię jego sieje przerażenie wzdłuż Amazonki. Wszystkie plemiona zgadzają się co do kierunku, gdzie przebywa Curupuri. Był to ten sam kierunek, z którego przybył Amerykanin. Coś okropnego musiało się tam kryć, i postanowiłem zbadać co to było.

— Cóż pan począł?

Ten masywny człowiek przykuł całą moją uwagę i wzbudził we mnie głęboki szacunek.

— Przewyciężyłem wrodzony strach tubylców — strach, który wstrzymuje ich nawet od rozmów na ten temat — i za pomocą perswazji, darów, a nawet, muszę wyznać, i przymusu, znalazłem między nimi dwóch przewodników. Nie będę opisywał po jakich przygodach, ani po jak długiej podróży, kierunku, której bliżej nie określe, — przybyliśmy wreszcie do okolic dotychczas nieznanych nikomu, prócz mego poprzednika, który to przypłacił życiem. Niech pan spojrzy na to.

Podał mi fotografie.

— Fotografia jest zniszczona, gdyż **łódź** w której znajdowała się skrzynka z płytami, wróciła się i zawartość jej wpadła do wody. Prawie wszystkie płyty uległy zniszczeniu, co jest niepowetowaną stratą. Ta fotografia jest jedną z niewielu, które częściowo ocalały. Mam nadzieję, że zechce pan przyjąć to wytłomaczenie pewnych niedokładności i niejasności. Wspominano z tego powodu o oszustwie, ale nie czułbym się usposobionym do dyskusowania na ten temat.

Fotografia była istotnie bardzo błada. Uprzedzony krytyk mógłby bez trudności postawić szereg zarzutów. Wpatrując się uważnie rozróżniłem szarawy krajobraz, w głębi którego ciągnął się długi i niezmiernie wysoki szereg skał, podobny zdała do olbrzymiej katarakty, a przed skałami leżała równina porośnięta drzewami.

— Zdaje mi się, że to jest to samo miejsce co na rysunku — rzekłem.

— Tak, to samo — odparł profesor — znalazłem tu nawet ślady obozowiska.

A teraz następna fotografia.

Było to bliższe zdjęcie tej samej okolicy. Mimo wadliwości fotografii rozróżniłem złom skalny na którym wznosiło się samotne drzewo.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości — oznajmiłem

— No to postępujemy naprzód — rzekł pro-

fesor — proszę niech się pan przyjrzy uważnie tej kamiennej piramidzie. Co pan dostrzega na niej?

— Olbrzymie drzewo.

— A na drzewie?

— Wielkiego ptaka.

Podał mi szkło powiększające.

— Wielki ptak stoi na drzewie — rzekłem studiując fotografię — zdaje mi się, że ma bardzo duży dziób. Wygląda na pelikana.

— Nie mogę panu powinszować dobrego wzroku — zauważył profesor — to nie jest ani pelikan, ani wogóle ptak. Muszę panu powiedzieć, że udało mi się zastrzelić ten okaz. Był to jedyny rzeczowy dowód w jaki zdołałem się zaopatrzyć.

— A więc ma go pan? zawołałem serdecznie.

— Miałem go. Niestety przepadł podczas niefortunnego wypadku z łodzią, który zniszczył fotografię. Rzuciłem się wśląd za łodzią w fale i zdołałem porwać za jedno ze skrzydeł ptaka; gdy mnie wyniesiono nieprzytomnego na brzeg, trzymałem kurczowo tę resztkę mojej wspaniałej zdobyczy. Oto ona.

To co wyciągnął z szuflady przypominało skrzydło wielkiego nietoperza: liczyło przynajmniej dwie stopy długości, a od wygiętej górnej kości zwieszała się członkowata błona.

— Olbrzymi nietoperz — rzekłem.

— Nic podobnego — odparł surowo profesor — otaczając się atmosferą czystej nauki nie był-

bym doprawdy nigdy przypuścił aby początkowe zasady zoologii mogły być komu tak obce. Czyż doprawdy nie zna pan nawet na tyle elementarnej anatomji, aby pamiętać, że o ile skrzydło ptaka jest rodzajem jego przedramienia, to skrzydło nietoperza składa się z trzech wydłużonych palców między którymi rozciąga się błona? Otóż w danym wypadku kość ta nie może być przedramieniem, a jak pan widzi, błona zwiesza się z pojedynczej kości, co wykazuje, że nie może należeć do nietoperza. Czemże więc było to stworzenie nie będąc ani ptakiem, ani nietoperzem?

Skromny zapas mojej wiedzy był wyczerpany.

— Nie wiem — przyznałem.

Profesor Challenger znów otworzył książkę do której się poprzednio odwoływał.

— Otóż — rzekł, wskazując obrazek jakiegoś latającego potwora — oto doskonała reprodukcja *dimorphodona* lub *pterodaktyla*, latającego płaza z epoki Jurajskiej. Na następnej stronicy znajduje się dokładny rysunek jego skrzydła. Proszę to porównać z kością, którą pan trzyma w ręku.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. Byłem zupełnie przekonany. Niepodobna było wątpić wobec takich dowodów. Szkice, fotografie, opowiadanie, a teraz ten dowód rzeczowy — nie mogłem oprzeć się tej oczywistości. Powiedziałem to, i powiedziałem z uniesieniem, gdyż w oczach moich profesor Challenger stał się człowiekiem skrzyw-

dzonym przez ogół. Oparty o poręcz swego fotela, słuchał mnie, przymknawszy oczy, a uśmiech wyrozumiały, lecz zarazem zadowolony, rozjaśnił jego twarz.

— Jest to największe odkrycie o jakim kiedykolwiek słyszałem! — mówiłem z entuzjazmem raczej dziennikarskim niż naukowym. Wprost niesłychane. Pan jest Kolumbem nauki, który odkrył zaginiony świat. Szczerze żałuję żem mógł wątpić w pana. Ale to było tak niewiarygodne. Teraz chyłem głowę wobec tych dowodów i dziwię się tylko, że są ludzie którzy nie chcą się dać przekonać.

Profesor jaśniał zadowoleniem.

— Ale co pan począł dalej, profesorze?

— Nadeszła już pora deszczowa, panie Malone, a zapasy moje były na wyczerpaniu. Zbadałem częściowo tę olbrzymią skałę, ale nie zdołałem jej przebyć. Ów złom kamienny w kształcie piramidy, gdzieś ujrzał i zastrzelił pterodaktyla, był bardziej dostępny. Wdrapałem się nań nawet do połowy i z tej wysokości zdałem sobie lepiej sprawę z ogromnej przestrzeni skał ciągnących się po za nią. Zielonkawy łańcuch gór zdaje się nie mieć końca, ani na wschód, ani na zachód. W dole leży błotnista, leśna równina obfitująca w węże, owady i ziejąca gorączka. Broni ona wejścia do tej dziwnej krainy.

— Czy znalazł pan jakie ślady życia.

— Nie, nie znalazłem. Ale w ciągu tygodni jakieśmy spędzili, nocując u podnóża skał, dobiegały nas z góry dziwne odgłosy.

— Skądże się jednak wzięło to zwierzę, które amerykańnin wyrysował?

— Sądzę, że wdarł się na wierzchołek skały i że stamtąd je ujrzał. Stąd też wnioskuje, że musi być jakaś droga wiodąca na szczyt, ale bezwątpienia jest niesłychanie trudna, gdyż w przeciwnym wypadku potwory przebyłyby ją i dostałyby się do sąsiednich okolic. Zrozumiałe nieprawdaż?

— Ale skąd się wzięły te zwierzęta?

— Ten problemat nie wydaje mi się zbyt za-  
wały — odparł profesor — istnieje tylko jedno mo-  
żliwe wyjaśnienie. Słyszał pan zapewne, że Ame-  
ryka Południowa jest formacji granitowej. Przed  
wiekami musiał tu nastąpić nagły wybuch wulka-  
niczny, skały te, jak to zauważyłem, są bazalto-  
we, — czyli wulkanicznego pochodzenia. Przestrzeń,  
równa może rozległością hrabstwu Sussex, została  
wyniesiona w górę ze wszystkim, co na niej egzy-  
stowało i odcięta od reszty świata prostopadłemi  
ścianami nie do przebycia. Cóż z tego wynikło?  
Oto poprostu prawa natury uległy zawieszeniu.  
Przyczyny, które warunkują w całym świecie wal-  
ke o byt, zostały zneutralizowane lub zmienione.  
To też stworzenia, któreby w zwykłych warun-  
kach musiały zniknąć, pozostały przy życiu. Za-  
równo pterodaktyl jak i stegosaurus należą do epoki



Jurajskiej, czyli że w hierarchji świata, zajmują miejsce bardzo odległe. Zachowały się sztucznie przy życiu dzięki warunkom wytworzonym przez przypadek.

— Dowodzenie pańskie jest bardzo jasne, powinien pan zaznajomić z niem ludzi kompetentnych.

— W prostocie mego umysłu uważałem tak samo — z goryczą rzekł profesor — ale muszę panu powiedzieć że się w zupełności pomylił. Na każdym kroku spotykałem się z podejrzliwością, będącą po części wynikiem zazdrości, a po części głupoty. Pozatem nie leży w mojej naturze przekonywanie ludzi, którzy z góry wątpią w moją prawdomówność. Zraziłem się zaraz po pierwszych próbach, zniechęciłem do tego stopnia cały ten temat, że wogóle nie chciałem go poruszać. Gdy tak jak pan dzisiaj przychodzili do mnie ludzie chcący zaspokoić próżną ciekawość ogółu, nie umiałem zachować względem nich należytej godności. Przyznaję, że z natury jestem nieco prędki, i niekiedy się unoszę. Zdaje mi się zresztą, że pan to stwierdził na sobie.

Potarłem podbite oko, ale zachowałem milczenie.

— Żona moja nieraz robiła mi wymówki z powodu mego zachowania się, ale jednak zdaje mi się, że każdy człowiek honoru podzieli moje zdanie. Dziś wieczorem jednak chcę dać przykład opanowania instynktu przez siłę woli. Może pan

być nawet świadkiem tego ćwiczenia! — z tymi słowy wręczył mi jakiś bilet. — o wpół do dziewiątej odbędzie się w Instytucie Zoologicznym odczyt p. Perivala Waldron, popularnego przyrodnika. Tytuł odczytu „Dzieje Stuleci“. Otrzymałem specjalne zaproszenie i mam składać powinszowania i podziękowania prelegentowi. Postanowiłem wtrącić z całym taktem i spokojem kilka uwag, które może wzbudzą szersze zainteresowanie wśród słuchaczy i dadzą początek poważniejszej dyskusji. Będzie to tylko wskazówka, napomknięcie o wielkiem odkryciu. Postanowiłem trzymać się na wodzy, aby się przekonać czy spokojem nie uda mi się osiągnąć lepszych rezultatów niż gwałtownością.

— I ja mogę przyjść? — spytałem ciekawie.

— Naturalnie — rzekł z serdecznością, która była równie wielka, również nieodparta jak jego gwałtowność. Coś niezwykłego kryło się w jego dobrym uśmiechu, dzielącym twarz jego na dwie czerwone półkule, między wpółzamkniętymi oczyma i masą czarnej brody, — niech pan przyjdzie koniecznie. Będzie mi bardzo miło widzieć, że jest na sali ktoś życzliwy mi, choćby nawet ten ktoś był dyletantem w tej dziedzinie. Mam wrażenie, że sala będzie przepelniona, bo choć Waldron jest kompletnym szarlatanem, ale publiczność lubi go. No, ale panie Malone, udzieliłem panu aż nazbyt wiele z mojego czasu.

Jednostka nie powinna zabierać na swój wyłączny użytek tego co należy do ogółu. Będzie mi miło ujrzeć pana dziś wieczór, ale raz jeszcze przypomnam panu, że nic z tego com panu tu powiedział nie może dostać się do wiadomości publicznej.

— Ale nasz redaktor. Mc Ardle, będzie mnie zapytywał o wynik mojego wywiadu.

— Niech mu pan powie co się panu żywnie podoba. Między innymi powiedz mu, że jeśli mi tu naśle jeszcze kogoś, przyjdę sam się z nim rozprawić za pomocą mojej pejczy. W każdym razie polegam na pańskim słowie honoru. A więc dziś o wpół do dziewiątej w Instytucie Zoologicznym.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na jego czerwone policzki, błękitną brodę, jego zuchwałe oczy i opuściłem pokój.

---

## ROZDZIAŁ V.

### „Pytanie“

Wstrząs fizyczny, który był wynikiem pierwszej części mojej rozmowy z profesorem Challengerem, łącznie z wstrząsem umysłowym, jakiego doznałem wysłuchawszy jego opowieści, sprawiły iż czułem się mocno oszołomiony. W bolącej mojej głowie powstawała myśl, że jednak człowiek ten mówił prawdę, że prawda ta mogła mieć niesłychane następstwa i że odpowiednio ujęta byłaby wybornym artykułem dla „Gazety Codziennej“.

Wskoczywszy do auta, które czekało na rogu kazałem wieść się do biura. Tak jak zwykle Mc Ardle był na stanowisku.

— No — zawołał niecierpliwie — czemże się to skończyło. Wygląda pan, młodzieńcze, jakby pan brał udział w bitwie. Rzucił się na pana ten warjat?

— Mieliśmy drobne nieporozumienie z początku.

— Co za typ! Cóż pan począł?

— Profesor uspokoił się stopniowo i porozmawialiśmy trochę. Ale nie udało mi się nic wydostać z niego, — nic coby się nadawało do druku.

— Jabym tego nie powiedział. „Wydostał“ pan od niego potężnego sińca, a to już nadaje się do druku. Niepodobna tolerować dłużej tego terroru. Musimy dać gościowi nauczkę panie Malone. Machnę o nim jutro artykułik, który zrobi sensację; niech mi pan tylko opowie dokładnie jak się rzeczy miały, a tak go opiszę, że będzie miał dość na całe życie. Zatytułuje to „Profesor Munchausen“ co? John Mandeville — Cagliostro — redivivus. Jednym słowem wszyscy oszuści historii do towarzystwa.

— Niech pan tego nie robi panie redaktorze.

— A to czemu?

— Ten człowiek nie jest wcale oszustem.

— A to co nowego? — ryknął Mc Ardle — może pan wierzy w te brednie o mamutach, mastodontach, węzach morskich?

— Nie znam się na tym, i wogóle zdaje mi się że on tego wcale nie dowodzi, ale wierzę, że ten człowiek zrobił wielkie odkrycie.

— W takim razie niech pan o tem odkryciu napisze.

— Chciałbym z całej duszy ale zobowiązałem się do zachowania tajemnicy, — i tu w krótkich słowach opowiedziałem co między nami zaszło.

Mc Ardle patrzył na mnie niedowierzająco.

— Panie Malone — rzekł w końcu — tajemni-  
nie obejmuje jednak dzisiejszego odczytu; wą-  
czy które z pism umieści z niego sprawozdanie  
o Waldronie pisano tyle razy że już to nikogo  
nie obchodzi, a nikt nie wie że Challenger ma prz-  
mawiać. Ponieważ pan tam będzie, niechże p-  
napisze dokładne sprawozdanie. Zostawię panu k-  
ka szpalt.

Dnia tego byłem bardzo zajęty. Obiad z-  
dłem wcześniej w towarzystwie Henryka Tarp-  
któremu wspomniałem coś nie coś o moich przyg-  
dach. Słuchał mnie ze sceptycznym uśmiechem, a  
zaczął śmiać się na głos, dowiedziawszy się że pro-  
fesor Challenger przekonał mnie.

— Mój drogi panie, takie rzeczy nie trafia-  
się naprawdę. Ludzie nie wpadają na wielkie o-  
krycia aby potem pogubić wszystkie dowody; o-  
podobnego dzieje się jedynie w powieściach. P-  
wiadam panu, że pański nowy przyjaciel jest n-  
ciągaczem nielada, i że wszystko co panu opowi-  
dał jest kompletnem łgarstwem.

— A poeta-amerykanin?

— Nigdy nie egzystował.

— Widziałem jego notatnik.

— Był to notatnik Challengega.

— Pan myśli, że Challenger sam namalował  
tego potwora?

— Ależ naturalnie.

— A fotografie?

— Niczego nie dowodza. Pan sam przyznaje, że widział pan jakiegoś ptaka.

— Pterodaktyla.

— On mówi, że to pterodaktyl. Nabił panu głowę pterodaktylem i już.

— A kości?

— Jedną wyciągnął z garnka z zupą, a drugą sfabrykował sam. Jeśli ma się spryt i dosyć wiedzy można równie łatwo sfałszować kości jak i fotografie.

Czułem się trochę nieswojo. Być może iż dałem się przedwcześnie unieść entuzjazmowi. Nagle wpadłem na szczęśliwą myśl.

— Pójdzie pan na odczyt? spytałem.

Henryk Tarp zawahał się.

— Ten cały genialny Challenger — rzekł — nie jest zbyt popularny. Mase osób ma z nim porachunki i śmiem twierdzić, że jest to jeden z najbardziej nienawidzonych ludzi w całym mieście. Jeżeli studenci medycyny przyjdą na odczyt to nie obędzie się bez awantury. Niebardzobym chciał w to się wmieszać.

— Słusznie by jednak było wysłuchać tego człowieka.

— Ma pan rację. A więc dobrze, idę z panem. Przed Instytutem, zastaliśmy znacznie więcej osób, niż się spodziewałem. Siwobrodzi, poważni profesorowie wysiadali z powozów, podczas gdy

skromniejsza publiczność napływała nieprzerwanym strumieniem. Widać było, iż zebranie będzie liczne. Zajawszy nasze miejsca wyczuliśmy jakiś młodociąny, urwisowaty nastrój na galerji i w dalszych rzędach krzesel. Oglądając się wokół dostrzegłem iż na sali było bardzo wiele młodzieży, wśród której przeważali studenci medycyny. Zachowanie publiczności było wesołe, ale nieco złośliwe. Nuczono popularne kuplety, nie licujące w najmniejszym stopniu z poważnym charakterem zebrania, i zewsząd słyhać było jakieś nawoływania, obiecujące wypadki, zabawne dla jednych lecz niezbyt przyjemne dla innych.

Gdy na estradę wszedł stary doktor Meldrum w swoim sławnym, jakby z opery pożyczonym kapeluszu, rozległ się taki ogólny okrzyk: „gdzie można kupić podobną dachówkę?“ że biedak czempredzej zdał ja z głowy i ukrył pod krzesłem. A gdy znów zreumatyzowany profesor Wadley posuwał się o lasce ku swojemu miejscu, przywitały go zewszad życzliwe lecz mocno ambarasujące pytania o stan wielkiego palca u nogi. Ale największa sensacje sprawiło ukazanie się mego nowego przyjaciela profesora Challengeera, którego miejsce znajdowało się na drugim końcu estrady. Powitano go rykiem, który kazał mi wierzyć, że Taru miał rację, twierdząc, że publiczność zbierze się dzisiaj nie tyle dla odczytu, ile dla oglądania słynnego profesora.

Poważniejsza i wykwiintniejsza publiczność



pierwszych rzędów przywitała wrzask towarzyszący ukazaniu się profesora, pełnym aprobaty uśmiechem. Wrzask ten przypominał ryki dzikich zwierząt czujących zbliżenie się pogromcy. Znać było w tem wszystkim obraźliwą intencję, a jednak zdawało mi się, że było to raczej wyśmiewanie się z kogoś kto nas bawi i interesuje, a nie wybuch nienawiści lub wzgardy. Challenger uśmiechnął się z wyrazem zmęczenia i pobłażliwej litości, jak człowiek, którego podobne rzeczy dotknąć nie mogą. Poczem usiadłwszy w fotelu, przeciągnął ręką po gestej brodzie, i z pod opuszczonych powiek spojrzął na salę. Krzyki jakimi go przyjęto jeszcze nie umilkły, gdy przewodniczący profesor Ronald Murray, wszedł na estradę w towarzystwie prelegenta p. Waldrona.

Bez najłżejszego zamiaru obrażenia profesora Murray, muszę jednak stwierdzić, iż posiada on, zwykłą anglikom wadę niewyraźnej mowy. Wogóle zastanawiałem się nieraz nad pytaniem czemu ludzie, którzy mają coś do powiedzenia, nie starają się mówić tak aby byli usłyszani. Profesor Murray skierował kilka głębokich uwag do swego białego krągata i karafki na stole, przyczem uśmiechał się porozumiewawczo w stronę srebrnego świecznika, znajdującego się po jego prawej ręce. Wypełniwszy te obowiązki usiadł, a p. Waldron, popularny i lubiany mówca, podniósł się, witany gromem oklasków. Był to wysoki mężczyzna. o ruchach

nieco ostrzych, i szorstkim brzmieniu głosu; posiadał prawdziwy talent przyswajania sobie cudzych myśli i podawania ich szerokiej publiczności w sposób łatwy, zajmujący i nawet zabawny. Nawet takie tematy jak rozwój kręgowców, lub, porównanie dnia z nocą przybierały w jego ustach zabarwienie niezmiernie komiczne.

Odczyt jego, był pobieżnie lecz jasno ujętą historią kuli ziemskiej od jej powstania aż do chwili obecnej. Przedstawił nam nasz glob jako niezmiernie wielkości kulę z płonącego gazu, wirującą z międzyplanetarnej przestrzeni: opowiadał o okresie jej konsolidacji, o ochładzaniu i marszczeniu się jej powierzchni, tworzącej góry, o przemianie pary w wody, o całym przygotowaniu tej wspaniałej sceny, na której miał odgrywać się niepojęty dramat życia. O przyczynach powstania tego życia wyraził się dość mgliście; było niemal pewnem, że żadne zarodki nie mogłyby przetrwać procesu smażenia, dlatego należało sądzić iż powstały później. Czy były wytworem stygnących, nieorganicznych elementów naszego globu? Bardzo prawdopodobne. Czy może zarodki te przybyły z zewnątrz, na jakim meteorze? Trudno to przypuścić. W sprawie tej najwięksi uczeni nie mogli wydać decydującego sądu; dotychczas nikt nie zdołał wykrzesać w laboratorium, życia ze składników nieorganicznych. Przestrzeń między życiem a śmiercią pozostała jeszcze nieprzebyta. Pozostaje jedynie uchylić głowy wo-

bec praw natury, których mądrość przewyższa nasze zrozumienie, a której siły działają na przestrzeni wieków.

Tutaj prelegent przeszedł do wielkiego łańcucha zwierząt, poczynając od mięczaków, potem idąc coraz wyżej do płazów i ryb, aż dotarł do kangura, będącego przedstawicielem rodziny workowatych i prostym przodkiem wszystkich ssaków a tem samem i każdego z szanownych tu obecnych słuchaczy. (Nic podobnego — krzyknął z ostatnich rzędów jakiś sceptyk). Jeżeli młody człowiek, który krzyknął „nic podobnego“, a który prawdopodobnie sądzi iż wyklął się z jajka, zechce pozostać na sali po ukończeniu odczytu, to pan prelegent będzie bardzo rad obejrzeć podobny fenomen (śmiech ogólny). Czyżby cały ten proces ewolucji był wytworem owego krzykliwego młodzieńca? Czy proces ten już się skończył? Czyżby nasz młodzieniec miał być jego ostatniem słowem, zupełnie skończonym i niezmiennym typem? Pan prelegent sądzi, że nie obrazi w niczem hałaśliwego młodego dżentelmena, jeżeli bez względu na jego bezwątpienia, liczne zalety, ośmieli się twierdzić, że wytworzenie go nie było ostatecznym i jedynym celem sił wszechświata. Bieg ewolucji nie zatrzymuje się ani na jedną chwilę, a zadania jej są znacznie szersze.

W ten sposób, ku ogólnej radości, wyśmiawszy swego przeciwnika, prelegent kreślił w dalszym ciągu obraz przeszłości; wysychanie mórz, powsta-

wanie ławic piaskowych, ospałe życie, jakie w sobie kryły, mówił o skłonności stworzeń morskich do przebywania w błotnistych mułach, obfitości pożywienia, jaka ich tam czekała, i wynikającej stąd nadmiernej wielkości. — Oto, panie i panowie, skąd powstało to plemię potworów, które przeraża nas, gdy oglądamy je na tablicach naukowych, ale które na szczęście wygasło na długo przed zjawieniem się człowieka.

— To wielkie pytanie! — rozległ się nagle głos z drugiego końca estrady.

Waldron, obdarzony dość zjadliwym dowcipem, dowiedział przed chwilą, jak niebezpiecznie było przerywać mu, ale ten nowy okrzyk wydał mu się tak absurdalnym, iż na razie nie wiedział, jak nań zareagować. Wyglądał, jak wielbiciel Szekspira wobec zagorzałego Baconisty, jak uduchowiony astronom wobec śmiertelnika, nie umiejącego wzroku oderwać od ziemi. Umilkł na chwilę, poczem, podnosząc głos, zwolna powtórzył: „które wygasło na długo przed zjawieniem się człowieka“.

— To wielkie pytanie! — znów zagrzmiął ten sam głos.

Waldron spojrział ze zdumieniem na szereg profesorów, siedzących na katedrze, aż wzrok jego padł na Challengeira, który oparłszy głowę o poręcz fotela, przyknuął oczy i uśmiechał się tak, jakgdyby snił o czemś bardzo przyjemnem.

— Rozumiem — rzekł Waldron, wruszając ra-

mionami, — to odzywa się nasz przyjaciel, profesor Challenger. — I przy akompaniamencie ogólnego śmiechu, powrócił do przerwanej odczytu, tak, jakby sprawa nie wymagała innego lepszego wyjaśnienia.

Ale incydent nie był bynajmniej wyczerpany. Każda ścieżka, którą obierał prelegent, wśród zamierzchłej gęstwiny przeszłości, prowadziła go niezmiennie ku twierdzeniu, iż zwierzęta przedhistoryczne od wieków wymarły, co wywoływało natychmiast ze strony profesora Challengera grzmiący sprzeciw. Odgadując jego zbliżenie się, publiczność ryczała z zadowolenia, studenci dołączali doń swoje głosy, tak, iż zaledwie Challenger otwierał usta, już jedna połowa sali huczała: „To wielkie pytanie“, a druga odpowiadała jej: „Hańba“, „Wstyd“, „Cicho“ i t. d. Waldron aczkolwiek doświadczony prelegent i energiczny człowiek, nie wiedział, co począć ze sobą. Wahał się, platał, powtarzał po kilkakroć to samo, nie mógł wybrnąć z jakiegoś długiego zdania, i wreszcie zwrócił się ze złością ku sprawcy zamieszania.

— To nie do wytrzymania — krzyknął, rzucając gniewne spojrzenie wzdłuż katedry — panie profesorze Challenger, jestem zmuszony prosić pana o zaprzestanie tego nieprzyzwoitego i niemądrego przerywania.

Głośny szmer przebiegł po sali studenci bowiem nie posiadali się z radości wobec tej kłótni

profesorów. Challenger powoli uniósł swoją wielką głowę.

— A ja poproszę pana, panie Waldron—rzekł— o niewyglaszanie twierdzeń, które nie są w ścisłej zgodzie z faktami naukowymi.

Te słowa rozpetęły burzę. „Hańba“, „Hańba“, „Niech się wytłómaczy“, „Pozwolić mu mówić“, „Spędzić go z katedry“, — wrzeszczała publiczność ze śmiechem lub z oburzeniem. Przewodniczący zerwał się ze swego miejsca i wymachując rękoma wołał coś, z czego można było jedynie zrozumieć następujące słowa: „profesor Challenger — poglądy osobiste — później“. — Ten, który był powodem całego zajścia, uklonił się, uśmiechnął i pogładziwszy brodę, zagłębił się znów w fotelu. Waldron, czerwony i zły, ciągnął dalej swój odczyt. Od czasu do czasu, wygłaszając jakieś zdanie, rzucił zjadliwie spojrzenie na swego przeciwnika, który zdawał się drzemać, z tym samym zadowolonym szerokim uśmiechem.

Nareszcie odczyt dobiegł do końca; sądząc z chaotycznej i pośpiesznej mowy prelegenta, koniec ten został mocno przyśpieszony. Słuchacze byli niespokojni i podnieceni. Waldron usiadł, a po krótkiej przerwie zarządzanej przez przewodniczącego, profesor Challenger podniósł się z fotelu i wyszedł na środek katedry. Jako dziennikarz, dbał o sprawę swego pisma, zanotowałem dosłownie jego mowę.

— Panie i Panowie — zaczął, wśród wszczynającego się w głębi sali hałasu, — proszę mi darować — panie, panowie i dzieciaki, przeoczyłem, że ci ostatni tworzą znaczną część słuchaczy (przy tych słowach powstał tumult, podczas którego profesor pobleźliwie kiwał swą olbrzymią głową, a wyciągniętą ręką zdawał się błogosławić tłum.) Wydelegowano mnie, abym w imieniu Instytutu wyraził p. Waldrona dziękczynienia za odczyt, który tu dziś wygłosił. Były w nim punkty, z którymi się nie zgadzam, i uważałem sobie za obowiązek te niezgody moją głośno wyrazić, temniemniej p. Waldron wywiązał się dobrze z zadania, którem było danie jasnego i uproszczonego poglądu na to, co w jego mniemaniu jest historją naszej planety. Popularne odczyty, w rodzaju dzisiejszego, słuchają się łatwo, ale p. Waldron wybaczy mi (tu uśmiechnął się i zmrużył oczy), gdy powiem, że z samego swego założenia odczyty takie bywają powierzchowne i zwodnicze, będąc przystosowywane do poziomu ciemnej publiczności (gniewne okrzyki). Ludzie popularyzujący wiedzę są właściwie pasorzytami (gesty protestu ze strony pana Waldrona). Żywią się wysiłkami swych wielkich zapoznanych poprzedników, eksploatując je w celach wyzysku lub dla zadowolenia swej ambicji. Najdrobniejsze odkrycie dokonywane w laboratorium, małeńka cegiełka dorzucona do świątyni nauki, o wiele przewyższa tę próżną gadaninę, która może zapełnić godzinę zby-

tecznego czasu, ale nie przynosi żadnych pożytecznych rezultatów. Pozwalam sobie robić powyższe uwagi, nie ze względu jakiejś specjalnej niechęci do pana Waldrona, ale aby jasno określić różnicę między kapłanem wiedzy, a jego akolytą (w tem miejscu p. Waldron zwrócił się szeptem do przewodniczącego, a ten uniósł się na fotelu i coś surowo powiedział do stojącej przed nim karafki). „Ale dość już tego“ (długie i głośne śmiechy). Przejdźmy do spraw poważniejszych; zastanówmy się nad twierdzeniami mego przedmówcy, które jako badacz, podałem w wątpliwość. Dotyczą one ciągłości istnienia niektórych rodzajów zwierzęcych. Nie będę poruszał tego przedmiotu, jako amator lub jako pseudo-uczony, ale jak człowiek, którego głębokie poszanowanie dla nauki zmusza do przytrzymywania się ściśle faktów. Twierdzę, że p. Waldron myli się, utrzymując, że tak zwane przedhistoryczne zwierzęta nie istnieją, dlatego, że sam ich nigdy nie widział. Jak to słusznie zauważył są one naszymi przodkami, ale jeśli wolno użyć podobnego określenia, są to przodkowie współcześni, których można odnaleźć dziś jeszcze ze wszystkimi ich potwornymi i przerażającymi cechami, jeśli się ma odwagę ich szukać. Potwory, których istnienie określano na okres Jurajski, a które mogłyby z łatwością przelknąć nasze największe i najdziksze współczesne zwierzęta — potwory te do dziś dnia istnieją, (krzyk „huzubus“, dowody, prosimy o do-



wody“ „a pan skąd to wie?“ „to wielkie pytanie“  
„Skąd wiem? Ponieważ je widziałem, ponieważ od-  
kryłem ich legowiska“ (oklaski, ryki i zarzut „kłam-  
stwo“). Wiec jestem kłamcą? (hałaśliwe ogólne  
potwierdzenie) „Słyszałem że ktoś tu nazwał mnie  
kłamcą. Proszę, aby osoba która to powiedziała,  
powtórzyła to przedemną. (okrzyki „oto jest panie  
profesorze“ i jakiś dobrotliwy, niewielki człowieczek  
w okularach, wrywający się rozpaczliwie trzyma-  
jącym go, wynurza się ponad głowy studentów).  
„Czy to pan ośmielił się nazwać mnie kłamcą? („Nie,  
nie, nie, to nie ja“ protestuje oskarżony i momentalnie  
znika jak pajac w pudełku). „Jeżeli ktokolwiek w tej  
sali powątpiewa o prawdzie moich słów, służę mu na  
parę chwil rozmowy po skończeniu odczytu („Kłam-  
stwo“) „Kto to powiedział? (ten sam dobroduszny je-  
gomość, szamoczący się gwałtownie, ukazuje się nad  
głowami publiczności) „Zmusicie mnie panowie,  
abym tam do was podszedł (chór intonuje piosenkę  
„pójdź, mój luby, pójdź“, co powoduje niewypowie-  
dziany rozgwar. Przewodniczący zerwawszy się  
z krzesła wymachuje ramionami, co sprawia wraże-  
nie, jakgdyby dyrygował orkiestrą. Profesor Cha-  
llenger doprowadzony do ostatecznych granic unie-  
sienia, wykrzykuje coś z rozwianą brodą, rozdętymi  
nozdrzami i pałającą twarzą) Każdy wielki wynalazca spotykał się z niedowierzaniem, które jest cechą  
głupoty. Brakuje wam intuicji i fantazji aby wczuć  
się w to, co się wam tłumaczy: potraficie jedynie

obrzucać błotem tych, co narażali życie dla postępu wiedzy. Prześladujecie proroków! Galileusz, Darwin i ja". (Śmiechy, gwizdy, wrzaski).

Wyjątki te wzięte z notatek kreślonych pośpiesznie na owym pamiętnym zebraniu, nie mogą dać pojęcia o tym chaosie jaki zapanował na sali. Zamęt był taki, że niektóre przezorniejsze panie opuściły salę. Ludzie poważni i szanowani ulegli ogólnemu uniesieniu narówni ze studentami, i widziałem jak siwowłosi mężczyźni grozili pięściami nieokielznanemu Challengerowi. Sala przypominała wrzący kocioł. Profesor Challenger zrobił krok naprzód i podniósł w górę ramiona, a było w nim w tej chwili coś tak męskiego, tak imponującego, że pod nakazem tego ruchu i pod spojrzeniem jego władczych oczu, sala stopniowo zamarła. Miał coś do powiedzenia, przycichli, aby go wysłuchać.

Nie chcę was przekonywać — rzekł — nie chce, bo nie warto, ale prawda jest prawdą i nie zagłusza jej wrzaski nierozsądnych młodych ludzi, i równie nierozsądnych starców. Twierdzę, że zrobiłem epokowe odkrycie, wy zaprzeczacie temu (krzyki). Mamy rozstrzygnąć tę sprawę. Wydelegujcie z waszego grona kilka osób, któreby się naocznie przekonały o słuszności moich twierdzeń.

Z pośród słuchaczy podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna, którego sucha twarz miała w sobie coś ascetycznego, był to p. Summerlee, zasłużony profesor Anatomji Porównawczej. Oświadczył, że

chciałby zapytać profesora Challengera, czy odkrycia o których tenże wspominał, były wynikiem podróży, odbytej przed dwoma laty do źródeł Amazonki?

Profesor Challenger odpowiedział twierdząco. Pan Summerlee chciałby wiedzieć w jaki sposób szanowny profesor mógł natrafić na odkrycia, które wymknęły się uwadze uczonych tak światowej sławy jak Bates, Wallace i ich poprzednicy, badających przed nim te okolice?

Profesor Challenger odpowiedział, iż najwidoczniej pan Summerlee nie odróżnia Tamizy od Amazonki; i że w takim razie nie zaszkodzi dowiedzieć się iż Amazonka jest nieco większa od Tamizy, gdyż łącznie z Orinoco ciągnie się na przestrzeni pięćdziesięciu tysięcy mil, a na takich przestrzeniach jeden podróżnik może łatwo natrafić na coś co przeoczył drugi.

Pan Summerlee oświadczył z łodowatym uśmiechem, iż dokładnie zdaje sobie sprawę z różnicy między Tamizą a Amazonką, która to różnica polega przede wszystkim na tem, że łatwo stwierdzić co się dzieje nad pierwszą, lecz nie podobna — nad drugą. Profesor Challenger zobowiąże go bardzo, komunikując pod którym stopniem szerokości i długości geograficznej znajdują się owe przedhistoryczne zwierzęta?

Profesor Challenger odpowiedział, że z pewnych

względów informacje te zachowuje dla siebie, a że gotów jest podzielić się nimi z komitetem wybranym przez słuchaczy. Czy pan Summerlee chce należeć do tego komitetu i przekonać się osobiście o odkrywaniu?

Pan Summerlee: „Tak jest, chcę“ (oklaski na sali).

Profesor Challenger: „W takim wypadku obiecuje dostarczyć panu dowodów, które rozproszą wszelkie pańskie wątpliwości. Jeżeli jednak pan Summerlee wątpi w moją uczciwość, to i ja mogę wątpić w jego, dlatego proponuję, aby towarzyszyła nam jeszcze jedna lub jeszcze dwie inne osoby. Nie taje, iż czekają nas trudności i niebezpieczeństwa. Pan Summerlee będzie potrzebował młodszego towarzysza. Może kto z obecnych zgłosi się na ochotnika?

Była to jedna z tych chwil, które decydują o losach człowieka. Czyż przechodząc próg tej sali, mogłem przypuszczać, że waże się na krok śmielszy, niż ten o którym kiedykolwiek śniłem? Mvślałem o Gladys — o tej sławie, tej okazji, o jakich mi wspominała. Gladys byłaby mnie zachęcała do czynu. Zerwałem się z miejsca, mówiłem coś, nie słysząc własnego głosu. Tarp ciągnął mnie za poły i udominał szentem: „siadaj, nie rób z siebie osta“. Jednocześnie o kilka rzędów przed sobą zauważyłem jakiegoś wysokiego, szpakowatego mężczyznę, który również powstał. Odwrócił się i spoglądał na mnie z

mnemi, gniewnemi oczyma, ja jednak nie ustępowałem.

— Zgłaszam się na ochotnika, panie przewodniczący — powtarzałem raz po raz.

— Imię, imię! — krzyczała publiczność.

— Nazywam się Edward Dunn Malone. Jestem współpracownikiem „Gazety Codziennej”. Chcę być zupełnie bezstronnym świadkiem.

— A pańskie nazwisko? — spytał przewodniczący mego rywala.

— Lord John Roxton. Byłem u źródeł Amazonki, znam całe okolice i mam specjalne dane aby wziąć udział w podobnej ekspedycji.

— Lord John Roxton cieszy się sławą doskonałego sportsmena i znanego podróżnika — zauważył przewodniczący — ale nieźleby było mieć w tej ekspedycji przedstawiciela prasy.

— W takim razie proponuję — rzekł profesor Challenger — aby obydwoj ci panowie zostali wydelegowani przez dzisiejsze zebranie do wzięcia wraz z profesorem Summerlee udziału w ekspedycji mającej stwierdzić słuszność moich twierdzeń.

Tak to wśród okrzyków, oklasków i śmiechów los nasz został zdecydowany: fala ludzka uniosła mnie ku wyjściu. Oszołomiony wszystkiem co zaszło, podniecony perspektywą tajemniczej przyszłości, stałem na chodniku, przyglądając się wesołej gromadzie wybiegających z gmachu studentów, wśród których mignęło kilkakrotnie opadające wdół

i unoszące się ku górze ramię uzbrojone w wielki parasol. Widziałem jak lekki elektryczny samochód uniósł profesora Challengera, za którym gonił rozgwar i śmiech, wreszcie znalazłem się w srebrnym świetle latarni na Regent Street, myśląc to o Gladys, to znów o czekającej mnie ekspedycji.

Nagle ktoś dotknął mego ramienia. Obejrzawszy się, ujrzałem przed sobą owego wysokiego, szczupłego mężczyznę, który wraz ze mną zgłosił się na ochotnika owej dziwacznej wyprawy.

— Pan Malone, prawda? — rzekł nieznajomy, mamy być towarzyszami, a że mieszkam tuż na przeciw, więc może zechce mi pan poświęcić pół godziny czasu, tem więcej, że mam panu coś niecoś do powiedzenia.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### *„Bicz Boży“.*

Lord Roxton i ja skręciliśmy przez ulicę Vigo na Albany, arystokratyczną dzielnicę Londynu. Uszedłszy kilkanaście kroków mój nowy znajomy zatrzymał się, otworzył przedemną jakieś drzwi i wpuściwszy mnie do środka, wszedł za mną i przekreślił guzik elektryczny. Fala łagodnego światła zalała przedpokój: stojąc w progu, rozglądałem się ciekawie wokół; miałem przed sobą eleganckie mieszkanie; w którym zamiłowanie do wygody łączyło się z jakąś zupełnie specjalną męską atmosferą. Zbytek bogatego człowieka współzawodniczył z niedbalstwem — właściwem większości kawalerów; podłogę przykrywały wspaniałe futra i oryginalne maty wschodnie, ściany zawieszane były obrazami i sztychami, których wartość rozpoznało nawet moje niedoświadczone oko. Ale podobizny bokserów, baletnic i koni wyścigowych, sąsiadowały ze zmysłowym

Fragonardem, wojowniczym Girardet'em i marzy-  
cielskim Turnerem, a wśród najrozmaitszych fra-  
wodzące na pamięć fakt, iż Lord John Roxton był je-  
dnym z najśłynniejszych współczesnych sportsme-  
nów. Wiszące nad kominkiem dwa skrzyżowane  
wiosła — ciemno-błękitne i blade wiśniowe, oraz wi-  
dniejące pod nimi srebrne liście i para bokerskich  
rękawic, świadczyły, że ich właściciel zdobył  
pierwszeństwo na polu zapasów wiosłarskich jak  
i bokerskich. Na wszystkich ścianach rozsiane  
były wspaniałe trofea myśliwskie, nad którymi kró-  
lował łeb nosorożca ze wzgardliwie opuszczoną  
warga.

Pośrodku kosztownego, czerwonego dywanu stał  
stolik w stylu Ludwika XV, śliczny antyk inkrusto-  
wany złotem, którego blat poplamiony był w paru  
miejscach winem i spalony papierosami. Milczący  
mój gospodarz wypełnił winem szklanki z syfonu  
i butelki, stojącej na srebrnej tacy na stole i wska-  
zawszy mi fotel, podał mi jedną ze szklanek oraz  
długie, hawańskie cygaro. Poczem usiadłszy na-  
przeciwko utkwiał we mnie przenikliwe spojrzenie  
swoich dziwnych szaro-niebieskich, przypominają-  
cych zimną głąb jakiegoś północnego jeziora, oczu.

Poprzez nikły dym cygara wpatrywałem się i ja  
w jego rysy, widziane tylekroć na fotografiach, —  
miał duży, rzymski nos, ściągłe, nieco wpadnięte po-  
liczki, szorstki krótki wąs. Włosy jego były ciem-



nie, nieco rzednące. Miał w sobie coś z Napoleona III i coś z Don Kichota, a mimo to przypominał żywo tych typowo angielskich cobywateli ziemskich, szczupłych, żwawych, nie mogących żyć bez ruchu, bez świeżego powietrza, bez psów i koni. Cera jego, spalona wiatrem i słońcem, przybrała odcień brunatny. Długie, gęste rzęsy i krzaczaste brwi nadawały jeszcze ostrzejszego wyrazu jego z natury zimnym i przenikliwym oczom. Choć suchy i nerwowy, zdradzał jednak odrazu doskonałą budowę ciała — i istotnie dowiódł, iż niewielu ludzi w Anglii mogło mu dorównać w sile i zręczności. Sięgał poza sześć stóp wzrostu, ale wydawał się niższym, gdyż garbił się nieco.

Takim był ów słynny lord John Roxton, który siedząc naprzeciwko mnie i gryząc machinalnie swoje cygaro, przypatrywał mi się w milczeniu.

— A więc — rzekł wreszcie — oto cośmy zrobili miły mój chłopcze (zdanie to wymówił tak jakby stanowiło jedno słowo miy-mo-chłopcze). Nie namyślaliśmy się długo, ani pan ani ja. Ale idąc na odczyt nie miał pan najmniejszego pojęcia czem to się skończy?

— Najmniejszego.

— To samo i ja. Najmniejszego pojęcia. I oto jakeśmy się obydwaj wkopali aż po szyję. Ba, toż ja ledwie przed trzema tygodniami powróciłem z Ugandy, upatrzyłem sobie zamek w Szkocji, podpisałem kontrakt najmu, załatwiłem wszelkie formal-

ności. No i cóż z tego będzie? Czy ta awantura krzyżuje też i pańskie plany?

— Leży poniekąd w zakresie mego fachu, jestem dziennikarzem, współpracownikiem „Gazety Codziennej“.

— Wiem, wiem, oświadczył pan to głośno na zebraniu. Przy okazji chciałbym poprosić pana o pomoc w pewnej sprawie.

— Służę panu.

— Niebezpieczeństwo pana nie przestrasza?

— Co za niebezpieczeństwo?

— Ballinger. Naturalnie słyszał pan o nim.

— Nigdy.

— Ależ, miły chłopcze, gdzie się pan obraca?

Sir John Ballinger jest znakomitym sportsmenem. W ręcznych zapasach mógłbym go może zwyciężyć, ale w skoku mu nie dorównam. Otóż muszę panu powiedzieć — co zresztą jest tajemnicą publiczną — że Ballinger, o ile się nie trenuje, pije do zapaśnictwa. W zeszły wtorek dostał napadu delirjum i w tej chwili ciska się jak szaleniec. Mieszkanie jego znajduje się nad moim. Doktorzy oświadczyli że trzeba bezwzględnie zmusić go do przyjęcia jakiego pokarmu, bo w przeciwnym razie umrze, ale ponieważ stary Jack uzbroił się w pistolety i oświadczył że zastrzeli każdego kto ośmieli się wejść do pokoju, więc między służbą wszczął się popłoch. Oczywiście jest to straszny orzech do zgryzienia, bo Jack strzela konkursowo, ale temniemniej trudno

pozwoić aby zdobywca Wielkiej Nagrody zginął z wycieńczenia.

— Co pan zamierza zrobić, milordzie? spytałem.

— Ułożyłem taki plan: pan i ja wpadniemy jednocześnie do pokoju; być może że chory usnął, ale jeśli się zbudzi, to w najgorszym razie, zastrzeli jednego z nas, drugi tymczasem rzuci się na niego i obezwładni go obwijając mu kódrę naokoło głowy. Potem zatelefonuje się po pogotowie aby przyjechało nakarmić biedaka.

Propozycja była dość nieoczekiwana i nieprzyjemna. Nie sądzę abym był człowiekiem bardzo odważnym; moja celtycka wyobraźnia przybiera wypadki w tem czarniejsze barwy, im bardziej są one nieoczekiwane. Byłem jednak wychowany w pogardzie dla strachu i nie chciałem za nic zyskać opinję tchórza; jak ów historyczny Hunn byłbym się bez wahania rzucił w przepaść aby dowieść mej odwagi, choć popchnęłyby mnie ku temu jedynie próżność i miłość własna. To też choć wstrząsałem się wewnętrznie na myśl o wykrzywionej szaleństwem twarzy pijaka, któren miotał się nad naszymi głowami, odpowiedziałem najbardziej niedbałym tonem, na jaki mogłem się zdobyć iż jestem gotów służyć pomocą. Lord Roxten wypowiedział na temat niebezpieczeństwa tej wyprawy parę refleksji, które mnie tylko podrażniły.

— Rozmowy w niczem nie zmieniają sytuacji — rzekłem — weźmy się do rzeczy.

Podnieśliśmy się obydwaj z miejsc, lecz nagle śmiejąc się poufale lord Roxten uderzył mnie po ramieniu i znów popchnął na fotel.

— Doskonale, mój chłopcze — rzekł — to wystarczy.

Patrzyłem nań ze zdumieniem.

— Zająłem się sam Jackiem Ballingerem dziś rano. Przestrzelił mi szlafrok ale skrepowaliśmy go i w tydzień będzie zdrow. Nie gniewa się pan, młodzieńcze za ten drobny żart? Widzi pan, tak mówią między nami, cała ta ekspedycja amerykańska wydaje mi się sprawą bardzo poważną i chciałbym mieć za towarzysza człowieka na którym mógłbym polegać. Dlatego wystawiłem pana na tę próbę i jestem rad że pan z niej wyszedł zwycięsko. Musimy sobie jasno zdać sprawę z odpowiedzialności jaka spada na nas obydwu, bo starego Summerlee trzeba będzie jeszcze niańczyć. Ale, ale, czy nie jest pan przypadkiem tym samym Malone któremu wróżą odznaczenie w matchu Rugby?

— Mam nadzieję je uzyskać.

— Zdawało mi się że przypominam sobie pańską twarz; byłem przecież na matchu contra Richmond, i przyznaję żem podczac całego sezonu nie widział tak doskonałej formy jak pańska. Staram się nigdy nie opuszczać matchu Rugby, bo uważam go za jeden z naszych najlepszych sportów. Ale nie

mówmy teraz o sporcie, mamy pilniejsze sprawy. Na pierwszej stronie „Times'a“ znajduje się rozkład odjazdu statków. W przyszłą środę wyrusza jeden do Para, moglibyśmy się na nim zabrać gdyby to odpowiadało panu i temu naszemu profesorowi. Pan się zgadza? Więc profesora biorę na siebie. A jak stoją sprawy z pańskim ekwipunkiem?

— Zajmie się tem moja redakcja.

— Pan dobrze strzela?

— Tak sobie, przeciętnie.

— Wielki Boże, aż tak źle! Jest to ostatnia rzecz, której dzisiejsza młodzież stara się nauczyć; a przecież mężczyzna, nie umiejący strzelać jest jak pszczoła bez żądła. Pięknie będzie pan wyglądał kiedy jakiś intruz dobierze się do pańskiego miodu. O ile nasz profesor nie jest warjatem lub bezczelnym oszustem ujrzymy kilka ciekawych stworzeń w Ameryce Południowej i nieraz będziemy musieli uciekać się do pomocy naszych strzelb. Jakiego systemu pan używa?

Z tymi słowy podszedł do dębowej szafy i otworzywszy ją, ukazał moim oczom cały szereg błyszczących luf, podobnych do fletów organu.

— Może wybiorę panu coś z mojego arsenału— rzekł.

Jedną po drugiej wyjmował kolejno coraz to wspanialsze strzelby, otwierał je i zamykał z suchym trzaskiem a potem kładł je na miejsce, głaszcząc pieszczotliwie jak czuła matka swoje dzieci.

— Oto jest Bland. 577, wspaniały — rzekł — zastrzeliłem nim tego jegomościa — wskazał na białego nosorożca — ale jakie dziesięć jardów bliżej a nie ja lecz on byłby mnie dorzucił do swojej kolekcji.

„Mam nadzieję — ciągnął — że pan czytuje Gordona, bo jest to poeta fuzji i konia, człowiek który rozumie i jedno i drugie. Ta zabaweczka jest też bez zarzutu. Używałem jej przed trzema laty w Peru, przeciwko handlarzom niewolników; muszę panu powiedzieć że byłem istnym biczem bożym tamtejszych okolic, choć czynów moich nie zanotowano w żadnej historii. Są takie chwile, młodzieńcze, kiedy każdy człowiek winien stanąć w obronie sprawiedliwości i prawdy, jeśli nie chce czuć się shańbionym sam przed sobą. Dlatego i ja biłem się po trochu; sam wydałem wojnę, sam ją prowadziłem i sam zakończyłem.

Ilość nacięć jakie pan widzi na kolbie równa się ilości tych nieczemników, zgładzonych przezemnie, sporo co? Ten głęboki oznacza Pedra Lopez, króla handlarzy, którego zabiłem nad Putomayo. O, mam coś dla pana — zawołał, wyciągając śliczną, srebrem zdobną strzelbę — doskonała broń, lekka, celna, pięć ładunków za jednym zamachem. Może jej pan śmiało powierzyć życie.

Podał mi ją i zamknawszy szafę wrócił na swoje poprzednie miejsce.

— Niech mi pan powie — rzekł — wszystko co pan wie o tym profesorze Challengerze.

— Dziś zobaczyłem tego człowieka poraz pierwszy w życiu.

I ja również. Ale to zabawne że mamy obaj wyruszać w taką drogę pod przewodnictwem człowieka, którego wcale nie znamy. Wydał mi się dość oryginalnym okazem. Nie sądzę aby się cieszył wielkim mirem pośród swych kolegów. Czemuż ta ekspedycja pana interesuje?

W krótkich słowach opowiedziałem mu moją rozmowę z profesorem. Słuchał mnie uważnie, a gdy skończyłem rozłożył na stole mapę Ameryki Południowej i rzekł poważnie:

Co do mnie wierzę w każde słowo jego opowiadania, a mówiąc tak mam pewne podstawy. Kocham prosto Amerykę Południową, i myślę że okolice od Darien do Fuego są najpiękniejszymi, najbogatszymi i naicudowniejszymi w świecie. Ludzie nie poznali ich jeszcze i nie wiedza czem mogą się one stać, ja zaś przebiegłem je z końca do końca, i podczas tej wojny o której panu wspominałem, spędziłem tam dwie porę letnie. Otóż i mnie również zdarzyło się słyszeć dziwaczne historie, dające wiele do myślenia — były to tylko Indyjskie legendy, tradycyjne baśnie, to prawda, ale coś się w tem kryć musi. Im więcej poznaje się ten kraj, młodzieńcze, tem więcej się wierzy iż niema tam nic niemożliwego — nic. Prócz paru traktów wodnych, których się ludzie

trzymają, wszystko w tym kraju jest jeszcze tajemnica. Weźmy np. Matto-Grosso — mówiąc to wskazał cygarem jakiś punkt na mapie — lub ten oto kąt gdzie stykają się trzy różne kraje, upewniam pana że nic mnie tu nie zadziwi. Tak jak to powiedział dziś profesor rzeka płynie tu na przestrzeni pięćdziesięciu tysięcy mil, i to poprzez las który wielkością równa się nieomal Europie. Pan i ja moglibyśmy znajdować się w dwóch miejscach odległych od siebie, tak jak Szkocja od Konstantynopola, nie wychodząc obydwaj z tej olbrzymiej brazylijskiej puszczy. Ludzie zbudowali w niej tu jakąś włoseczkę, tam kawałek drogi. Ba, toż połowa kraju jest trzęsawiskiem nie do przebycia. Czemu ta ziemia nie miałaby kryć coś nieznanego i nadzwyczajnego! A jeśli kryje to czemuż my nie mamy tego odnaleźć? Poza tem — dodał, a uśmiech szczęścia rozjaśnił jego oryginalna, pociągłą twarz — poza tem niebezpieczeństwo czyha tam na każdym kroku. Co do mnie jestem jak stara piłka golfowa, życie objało mnie tak długo że starło ze mnie zupełnie ową pierwotną, świeżą biel; teraz może mnie tłuc ile się podobą nie zostawiając najmniejszego śladu. Ale niebezpieczeństwo, młody człowieku, jest solą życia. Jest jedynem co warte zachodu. Wszyscy stajemy się zbyt ocieźali, powolni i wygodni, ale dajcie mi swobodną, niezmierzone przestrzenie, dobrą fuzję w łapę i cel za którym warto by się uganiać. Próbowałem wojny, sportów, i aeroplanów, ale to polo-



wanie na bestję, wyczarowane z szalonej wizji jest czymś co mnie porywa“.

Śmiał się zachwycony tą perspektywą.

Być może że zatrzymałem się nieco za długo nad opisem tej mojej nowej znajomości, ale lord Roxton ma być moim towarzyszem przez wiele, wiele miesięcy, i dlatego starałem się uchwycić to wrażenie jakie sprawiło na mnie pierwsze zetknięcie się z jego oryginalną indywidualnością. Jedyne myślenie o pracy jaka na mnie czekała w redakcji zmusiła mnie do porzucenia jego towarzystwa; zostawiłem go promieniejącego szczęściem. Z nieopisanym uczuciem zadowolenia oliwił zamek swojej ulubionej strzelby, marząc o przygodach, które nas czekały. Jeśli istotnie grożą nam niebezpieczeństwa, to w całej Anglii niema człowieka, któryby je zniósł z równym jemu mestwem i spokojem.

Aczkolwiek bardzo zmęczony wypadkami ubiegłego dnia późno w noc rozprawiałem jeszcze z Mc Ardle, tłumaczac mu całą sytuację. Wydała mu się na tyle poważna, iż następnego ranka powiadomił o niej naczelnego redaktora Sir Beaumont'a. Ułożyliśmy iż bede w miare możliwości wysyłał w formie listów pod adresem Mc Ardle dokładne sprawozdania z podróży, które beda bądź stopniowo umieszczane w „Gazecie“, bądź też zostaną ogłoszone po powrocie, nie wiedzieliśmy bowiem jakie warunki postawi w tym względzie prof. Challenger. W odpowiedzi na interpelację telefoniczną usłyszeliśmy namiętną

filipikę przeciw całej prasie, zakończoną obietnicą że o ile wskażemy mu statek, na którym odpływam, prześle mi nań w godzinę odjazdu wszystkie instrukcje jakie będzie uważał za wskazane. Druga próba rozmowy spełzła na niczem, telefon bowiem odebrała pani profesorowa i oznajmiając nam iż jej mąż jest wielce zdenerwowany, prosiła nas abyśmy go nie drażnili bardziej jeszcze naszą rozmową. Trzecia próba, w parę godzin później, zakończyła się okropnym trzaskiem w telefonie, poczem stacja zawiadomiła nas że aparat profesora Challengeera został uszkodzony. Wobec tego zrezygnowaliśmy z wszelkiej rozmowy.

A teraz, kochani moi czytelnicy, kończy się mój bezpośredni kontakt z wami. Od dnia dzisiejszego będzie mi wolno przemawiać do was (o ile moje słowa wogóle was doida) jedynie po przez pismo, które reprezentuje. Opiece redaktora powierzam to niniejsze sprawozdanie o wypadkach, których wynikiem jest ta, najniezwyklejsza ze wszystkich, po dziś dzień odbytych, ekspedycja. Jeżeli z niej powrócę będę sobie zawsze mógł zdać sprawę w jaki sposób powstała. Piszę te ostatnie słowa w kabinie statku „Franciska“, i z drogi prześlę je p. Mc Ardle. Przed zamknięciem notatnika chciałbym w nim skreślić jeszcze jeden obraz — ostatni jaki z tego kraju unoszę w pamięci. Jest wilgotny, mglisty poranek, wczesna wiosna, mży chłodny deszcz. Oto trzy postacie otulone w płaszcze nieprzemakalne posu-

wają się wzdłuż przystani, ku pomostowi jaki ją łączy z jednym ze statków. Przed nimi tragarz pcha wózek naładowany walizami, plekami, podłużnymi pudłami, kryjącymi fuzje. Profesor Summerlee, chudy, melancholijny, idzie z pochyloną głową tak jakgdyby oplakiwał sam siebie. Lord Roxton stąpa żwawo, a pod podróżną czapka ściągnęła jego twarz promienieje zadowoleniem. Co do mnie czuję się szczęśliwym, iż minęły te gorączkowe dni przygotowań i pożegnań, i jestem pewny że zachowanie moje zdradza to uczucie. Nagle, w chwili gdy dochodzimy już do statku, jakiś głos odzywa się za nami. To profesor Challenger który obiecał odprowadzić nas, biegnie za nami, czerwony i zziębnięty.

— Nie, dziękuję panom — mówi — nie mam zamiaru wchodzić na pokład. Mam tylko parę słów do powiedzenia, i mogę równie dobrze powiedzieć je tutaj. Przedewszystkiem chciałbym zaznaczyć iż w najmniejszym stopniu nie czuję się zobowiązanym względem panów za to że puszczaście sę w tą podróż. Jest to dla mnie najzupełniej obojętne i nie widzę powodu do jakiegokolwiek z mej strony wdzięczności. Prawda pozostanie prawdą i żadne zarzuty nie zdołają jej zmienić, nawet jeśli podniecają niechęć i ciekawość pewnej ilości niedorozwiniętych ludzi. W tej oto zapieczętowanej kopercie znajdują się wskazówki co do waszej drogi, przeczytacie je panowie po przybyciu do miasta Manaus nad Amazonką, ale nie przed nadejściem dnia i go-

dziny, oznaczonych na kopercie. Czy wyrażam się dość jasno? Ścisłe wypełnienie powyższych warunków pozostawiam waszej uczciwości. Dobrze, panie Malone, nie sprzeciwiam się pańskiej korespondencji, skoro rozgłaszanie faktów jest celem pańskiej podróży, ale proszę o powstrzymanie się od wszelkich wiadomości co do kierunku wyprawy, a także nie drukowanie pańskich sprawozdań aż do chwili powrotu. Żegnam pana. Nasza znajomość złagodziła nieco uczucia, jakie żywię dla ohydneho zawodu do którego pan, niestety, należy. Żegnam pana milordzie. O ile mi wiadomo nauka jest dla pana zamknięta księga, ale może pan być pewny że nie ominie pana ciekawe polowanie i będzie pan mógł opisywać na łamach pism sportowych jak pan zastrzelił dimophodona. I pana również żegnam, profesorze. Jeśli umysł pański może się jeszcze rozwinąć, o czem prawdę mówiąc wątpię, to wróci pan do Londynu mądrzejszy niż przed wyjazdem“.

Odwrócił się na pięcie, a po chwili widziałem jego krępą postać to wynurzająca się z tłumu, to znów niknącą w nim. Jesteśmy już na kanale. Za chwilę trzeba będzie oddać paczkę. Niech Bóg ma w swojej pieczy tych co pozostają i niech pozwoli nam wrócić szczęśliwie.

## ROZDZIAŁ VII.

### *Niespodzianka prof. Challengega.*

Nie mam zamiaru nudzić tych co będą czytali to sprawozdanie opisem naszej podróży na statku, ani tygodniowego pobytu w Para (podziękuję tylko Tow. Percira da Pinta za uprzejmą pomoc przy naszym ekwipowaniu). Nie będę również wspominał o naszej podróży wzdłuż rzeki, na statku nie wiele mniejszym niż ten, który nas dowieźł przez Atlantyk. Wreszcie minęliśmy cieśninę Olides i dotarliśmy do miasta Manaus. Gościnność p. Shortmana, przedstawiciela Angielsko-Brazylijskiego Tow. Handlowego, wybawiła nas od wątpliwych rozkoszy miejscowej gospody. W jego „faziendzie“ spędziliśmy czas dzielący nas od dnia w którym mieliśmy odczytać list Challengega. Zanim jednak zacznę opisywać ten dzień i zdumiewające wypadki jakie po nim nastąpiły, chcę skreślić choć pobieżny obraz moich towarzyszy, a także i tych pomocników których zda-

żyliśmy już znaleźć w Ameryce. Będę zupełnie szczerym, polegając na pańskiej dyskrecji, p. Mc Ardle, skoro ten list jedynie za pańskim pośrednictwem dojść może do wiadomości publicznej.

Naukowe zasługi profesora Summerlee są zbyt powszechnie znane abym miał o nich wspominać. Jest on lepiej przygotowany do tego rodzaju wyprawy niżby można na pierwszy rzut oka sądzić. Jego długie, chuderlawe ciało nie odczuwa żadnego zmęczenia, a oschły, sarkastyczny sposób zachowania się nie zmienia się ani na jotę pod wpływem nowych miejsc ani nowego otoczenia. Choć człowiek ten liczy już sześćdziesiąt sześć lat, nie słyszałem ani razu aby się uskarżał na niewygody podróży. To też o ile początkowo uważałem jego udział w wyprawie za ciężar, o tyle dziś widzę że jego wytrzymałość równa się mojej. Z usposobienia jest to człowiek sceptyczny i zgryźliwy. Zdaniem jego, z którym się bynajmniej nie kryje, profesor Challenger jest oszustem, wyprawa nasza nie ma sensu, a rezultatami będą: rozczarowanie, niebezpieczeństwa i śmieszność jaka nas za powrotem nie ominie. Takimi to poglądami karmił nas przez całą drogę od Southampton do Manaos, przyczem trzęsła się jego koźla bródka i krzywiły wąskie, suche usta. Na lądzie pocieszył się niezwykłą obfitością i różnorodnością ptaków i owadów, gdyż namiętność jego do nauki jest bezbrzeżna. Całe dnie spędza w lesie, posługując się naprzemian fuzją lub siatką na motyle, wieczorami

zaś klasyfikuje swoje zbiory. Charakterystycznymi jego cechami jest nieporządek, niedbalstwo w ubraniu, i nadzwyczajne roztargnienie. Rzadko kiedy wypuszcza z ust króciutką głogową fajeczkę którą pali nałogowo. W młodości uczestniczył w kilku naukowych wyprawach (był z Roberstsonem w Papui) i obozowe życie nie jest dlań nowością.

Lord Roxton jest pod pewnymi względami podobnym do profesora Summerlee, a pod innymi wręcz odęń różnym. Przedewszystkiem choć o dwadzieścia lat młodszy, przypomina go nieco suchą, szczupłą budową. Zresztą o ile sobie przypominam opisałem dokładnie powierzchowność lorda Roxtona w poprzednim mojem sprawozdaniu, pozostawionem w Londynie. Jest ogromnie czysty i staranny, ubiera się z wielką dbałością, nosząc przeważnie białe sportowe kostjумы i bronzowe, wysokie buty; goli się przynajmniej raz na dzień. Jak większość ludzi czynu, jest raczej oszczędny w słowach, i łatwo popada w zamyślenie, ale chętnie odpowiada na skierowane doń pytania, jak również zabiera głos w ogólnej rozmowie. Ma specyficzny, urywkowy, w pół żartobliwy, sposób wyrażania się. Jego doświadczenie życiowe jest ogromne, a znajomość Ameryki Południowej wprost zadziwiająca. wierzy szczerze w celowość naszej wyprawy i żadne drwiny profesora Summerlee nie mogą zachwiać tej wiary. Głos lorda Roxtona jest bardzo miły, zachowanie jego zawsze spokojne, ale z jego stalowo-niebieskich oczu

wygląda niezłomna energia, i zawziętość tem niebezpieczniejsza, że trzymana na wodzy. Rzadko nam wspominał o swych przygodach w Brazylii i w Peru, ale jego przybycie do Manaos wzbudziło entuzjazm wśród tubylców, którzy uważają go za swego opiekuna i obrońcę. Czyny Czerwonego Wodza (bo taki nadali mu przydomek) stały się pośród nich legendarne, ale po odrzuceniu legendy same proste fakty dostatecznie zasługują na uwagę.

Lord Roxton znalazł się przed paru laty w tym, nienależącym właściwie do nikogo, zakątku ziemi między Peru, Brazylią i Columbią. Drzewo gumowe stało się tu, tak jak w Kongo, prawdziwym przekleństwem krajowców; biedacy musieli pracować tak ciężko, jak ich przodkowie pracowali niegdyś w hiszpańskich kopalniach srebra w Darien. Zgraja nikczemnych mulatów opanowała cały kraj, i uzbroiwszy pewną część indjan, resztę obróciła w niewolników, zmuszając ich nieludzkim obejściem do zbierania gumi, która później spławiano wodą do Para.

Lord Roxton wstawiał się niejednokrotnie za ofiarami, lecz nie uzyskał nic prócz gróźb i obelg. Formalnie więc wypowiedział wojnę Pedrowi Lopez, naczelnikowi wyzyskiwaczy, i zgromadziwszy wokół siebie zbiegłych niewolników uzbroił ich, i rozpoczął w imię sprawiedliwości walkę, która zakończyła się śmiercią słynnego Lopeza i rozproszeniem jego szajki.



To też nie dziwnego, że ten szpakowaty mężczyzna, o ładnym głosie i pełnym prostoty obejściu, był przedmiotem podziwu wzdłuż całej Amazonki. Niestety, uczuciu wdzięczności jakie wzbudził w sercu uciśnionych, odpowiadała serdeczna nienawiść jaką dlań żywili uciskający.

Niezaprzeczoną korzyścią tych jego przygód była wprawa jakiej nabył w narzeczu Lingoa, znaniem w całej Brazylii, a składającym się w jednej trzeciej ze słów portugalskich, a w dwóch trzecich z Indyjskich.

Wspomniałem już poprzednio, że lord Roxton był zakochany w Ameryce Południowej; nie mógł o niej mówić bez entuzjazmu, który udzielał się nawet takim, jak ja profanowi, przykuwając moją uwagę i podniecając ciekawość. Jakże żałuję, iż nie potrafię oddać jego płomiennych przemówień, gdzie wiedza splatała się z fantazją, nadając im siłę, pod wpływem której z twarzy profesora Summerlee zniknął sceptyczny uśmiech. Roxton opowiadał nam historję Amazonki, tej wspaniałej rzeki, niby zbadanej tak wczesnie (wszak już pierwsi zdobywcy Peru przebyli kraj na jej falach), a jednak do dziś dnia kryjącej tajemnice swych wiecznie zmiennych brzegów.

— Co się tam znajduje? — mówił wskazując na północ — lasy, błota i niezbadane jungla. Któż przeniknie, co się w niej kryje? Lub idąc na południe spotkamy niezmiernie lasy bagniste, w któ-

rych nigdy nie powstała noga białego człowieka. Kraj ten otacza nas zewsząd mnóstwem zagadek, bo cóżżeń znamy po za siecią rzek? I dlatego wszystko jest tutaj możliwe, nawet odkrycie starego Challengeera.

Przy tych słowach uparty uśmiech wracał na usta profesora Summerlee, który z poza obłoków dymu swej fajeczki, kiwał głową w pełnym wzgardy milczeniu.

Nie chce jednak mówić dłużej o moich dwu towarzyszach, do charakterystyki, których tak, jak i do mojej własnej, będę miał jeszcze nierzadko okazje powrócić. Mieliśmy już jednak kilku służących, którym przypadnie w przyszłym opowiadaniu nie-mała rola.

Pierwszym z nich był olbrzymi murzyn Zambo, istny hebanowy Herkules, pracowity jak koń i mniej-więcej równie inteligentny. Został nam polecony w Peru przez towarzystwo okrętowe, na którego statkach nauczył się straszego angielskiego żargonu.

W Para zaangażowaliśmy również Gomeza i Manuela, dwóch metysów, którzy przybyli tam właśnie z ładunkiem czerwonego drzewa. Obydwaj są zwinni, silni, brodaci, ruchliwi i żwawi, jak pantery. Spędzili życie nad brzegami Amazonki i ta to okoliczność skłoniła głównie lorda Roxtona do przyłączenia ich do naszej wyprawy. W dodatku Gomez mówi doskonale po angielsku. Za opłatę piętnastu dolarów miesięcznie usługują nam,

gotują, wiosłują, pełnią najrozmaitsze funkcje. Potem najęliśmy jeszcze trzech Indian z plemienia Mijo w Boliwji, słynnego z swych zdolności rybackich i żeglarskich. Najstarszego z tych Indian nazwaliśmy Mijo, dwaj pozostali noszą imiona Fernanda i José.

Tak więc ekspedycja nasza, składająca się z trzech białych, dwóch metysów, jednego negra i trzech Indian, czekała w Manaos na instrukcję do dalszej tajemniczej drogi.

Wreszcie po tygodniu męczącego oczekiwania nadszedł wskazany dzień. Proszę sobie wyobrazić cienisty salonik Faziendy Santo Ignacio, leżącej o dwie mile od Manaos; za oknami świeciło złote, wspaniałe słońce, w którym cień pierzastych palm odcinał się równie wyraźnie jak ich czarne pnie. Powietrze było spokojne, pełne wiecznego brzęczenia owadów, tego podzwrotnikowego chóru, obejmującego wszystkie oktawy, od głębokich tonów pszczoły do cieniutkiego dzwonięcia moskitów. Poza werandą ciągnął się mały ogródek, okolony żywopłotem, przybrany kłombami kwitnących kwiatów, nad którymi kołysały się błękitne motyle, i mieniące się wszystkimi barwami ptaki. Wszyscy trzej siedzieliśmy przed trzciniowym stolikiem na którym leżała zapieczęta koperta, a na niej haczykowatym pismem profesora Challengera widniały wypisane następujące słowa:

„Instrukcje dla lorda J. Roxtona i jego towarzyszy. Otworzyć w Manaos dn. 15 lipca, punktualnie o 12-ej w południe“.

Lord Roxton położył zegarek na stole obok koperty.

„Brakuje jeszcze siedmiu minut — rzekł — ten pocziwina chodzi doskonale“.

Profesor Summerlee uśmiechnął się kwaśno i ujął za kopertę.

— Czy nie wszystko jedno kiedy ją otworzymy, teraz czy za siedem minut? — rzekł — jest to cząstka programu składającego się z niedorzeczności i szarlatanerii, z jakich (stwierdzam to z przykrością), słynie autor listu.

— Nie, nie, skorośmy się wdali w tę grę, grajmyż w nią uczciwie — zaprotestował lord Roxton — jesteście tu na benefis Challenge'a, jakby z jego pozwolenia, więc byłoby szkaradnie gdybyśmy nie wypełnili postawionych przezeń warunków.

— Głupia sprawa! zawołał niechętnie profesor — uważałem ją za głupią w Londynie, a przyjrząwszy się jej bliżej, uważam za jeszcze głupszą. Nie wiem co zawiera ta koperta, ale jeśli nic ścisłego, to doprawdy mam chęć powrócić do Parai i złapać jeszcze statek „Boliwię“. Koniec końcem mam poważniejsze sprawy w życiu, niż uganianie się po świecie za marą lunatyka. No, Roxton, już pewnie czas.

— Czas — odparł lord John — dzwonek. Zaczynamy“.

Rozciąwszy scyzorykiem kopertę, wyciął z niej ćwiartkę papieru, który starannie rozłożył i rozpostarł na stole. Była czysta. Odwrócił ją na drugą stronę. I ta była biała. Spojrzeliśmy na siebie w zdumionem milczeniu, które przerwał wzgardliwy śmiech profesora.

— Przyznanie się do winy — zawołał — czego chcecie więcej? Ten człowiek to wcielony humbug. Jedyne co nam pozostaje to powrócić do domu i ogłosić go za oszusta jakim jest w istocie.

— Niewidzialny atrament? podsunęłam.

— Nie sądzę — rzekł lord Roxton, oglądając papier pod światło. — nie, miły mój chłopcze, nie ma co się łudzić. Założę się, że nic nigdy na tym papierze nie napisano.

— Czy wolno wejść? — zagrział jakiś głos z werandy.

Jakaś krępa postać zamajaczyła wśród zalanej słońcem przestrzeni. Ten głos! Ta potworna szerokość ramion! Zerwaliśmy się z krzeseł na widok Challengego, w okrągłym słomkowym kapeluszu, opasanym kolorową wstążką! Challengego, który wsadziwszy obie ręce w kieszenie marynarki, wysuwając ostrożnie stopy obute w płócienne trzewiki, — kroczył ku nam. Zatrzymał się w progu i odrzucając w tył głowę, roztoczył w tym potoku słońca całe bogactwo swej assyryjskiej brody, całe zuchwalstwo swych oczu, patrzących wyzywająco z pod ciężkich powiek.

— Lękam się — rzekł, wyjmując zegarek, — że spóźniłem się o parę minut. Wręczałem wam tę kopertę z myślą, że nigdy nie będzie otwarta, gdyż postanowiłem połączyć się z wami przed wyznaczonym terminem. Małe opóźnienie należy policzyć na karb niedołężnego sternika i przekornej ławicy piaskowej. Przypuszczam, iż dało to sposobność memu koledze, profesorowi Summerlee, do wygłoszenia kilku podeirzeń.

— Jestem zmuszony przyznać — odparł lord Roxton, z pewnym odcieniem surowości w głosie, — że zjawienie się pańskie jest dla nas prawdziwą ulgą. Myśleliśmy już przed chwilą, że wyprawa nasza zakończy się przedwcześnie, i, na honor! nie pojmuję czemu postąpił pan w tak dziwny sposób.

Zamiast odpowiedzieć profesor Challenger wszedł do pokoju, powitał uściśnieniem dłoni lorda Roxtona i mnie, a impertynenckim ukłonem profesora Summerlee i rzucił się w trzcinowy fotel, który jęknął pod jego ciężarem.

— Czy wszystko przygotowane do podróży? — spytał.

— Możemy wyruszyć choćby jutro.

— A więc wyruszymy. Od dnia dzisiejszego wszelkie instrukcje stają się zbyteczne skoro macie panowie nieocenioną korzyść mojego osobistego kierownictwa. Od samego początku zdecydowałem stanąć na czele wyprawy, i zgodzicie się panowie bez

wahania, że najdokładniejsze wskazówki nie mogą się równać moim radom i mojej wiedzy. Co się tyczy drobnego figla jaki wam spletałem z kopertą, to zrobiłem, to dlatego, że gdybym się wam był zwierzył z moich planów, to musiałbym oczywiście opierać się niepożądanym waszym namowom, odbycia podróży razem z wami.

— W każdym razie nie z mojej strony! — zaprotestował gorąco Summerlee — o ile tylko byłby inny statek na Atlantyku!

Challenger skinął swą włochatą ręką.

— Jestem pewny, że pański zdrowy rozsądek, profesorze, przyzna mi słuszność i zrozumie dlaczego zachowałem swobodę ruchów, aby zjawić się na scenie we właściwej chwili. Otóż ta chwila nadeszła. Jesteście moi panowie w dobrych rękach i traficie do miejsca przeznaczenia. Od dzisiaj obejmuję kierownictwo wyprawy i proszę panów o ukończenie przed wieczorem wszelkich przygotowań, tak abyśmy jutro wczesnym rankiem mogli ruszyć w drogę. Ponieważ mój czas jest nader cennym, co zapewne, aczkolwiek w mniejszym stopniu możecie panowie powiedzieć i o sobie, więc też chcę posuwać się naprzód z możliwie największą szybkością, aż do chwili, gdy będę wam mógł pokazać to, coście przybyli sprawdzić.

Lord Roxton wyszukał dużą łódź parową „Esmeralda“, która miała nas zawieść w górę rzeki. Pora wyprawy nie miała najmniejszego znaczenia,

gdyż, o ile chodzi o klimat, temperatura waha się zarówno w zimie, jak i w lecie od 75 do 90 stopni, bez widocznej zmiany w upale. Ale od grudnia do maja trwa okres deszczowy, podczas którego wody rzeki, przybierają, dochodząc do czterdziestu stóp ponad zwykłą miarę. Zalewając wybrzeża, tworzą wówczas olbrzymie leny, tak zwane Gapo; przestrzenie zbyt błotne aby je można było przebyć pieszo, zbyt płytkie do przebycia łodzią. Około czerwca wody poczynają opadać, a w październiku i listopadzie poziom ich jest najniższy. Czas naszej wyprawy przypadał na suchą porę roku, gdy rzeka i jej dopływy znajdują się na poziomie mniej więcej normalnym.

Bieg rzeki jest powolny, gdyż pochylenie gruntu nie przechodzi ośmiu cali na przestrzeni jednej mili. Trudno o lepszą dla żeglugi rzekę, tembardziej, iż wiatr dmie przeważnie z południo-wschodu, i prąd wody niesie żaglowe łodzie stale w kierunku granic Peru. Świetne maszyny „Esmeraldy“ nie dbały o leniwy bieg wód, niosąc nas z taką szybkością jakgdybyśmy żaglowali po nieruchomem jeziorze. Przez trzy dni sunęliśmy w kierunku północno-zachodnim, w górę potoku, który nawet tu, o tysiąc mil od swego ujścia, był tak szerokim, że oba brzegi majaczyły, jak cienie na odległym horyzoncie.

Czwartego dnia skręciliśmy w jeden z dopływów, którego ujście niewiele było węższem od



główniej rzeki. Koryto rzeki ożywiło się jednak szybko, a po dwóch następnych dniach żeglugi przybyliśmy do indyjskiej wioski, gdzie profesor Challenger postanowił wylądować i odesłać „Esmeraldę” do Manaos. Tłumaczył nam, że wkrótce wydotaniemy się na bardzo wartkie prądy, gdzie parowiec nasz byłby zupełnie bezużytecznym. Dodał przytem, że zbliżamy się już do bram tajemniczej krainy, i że im mniej mamy ze sobą świadków, tem lepiej. W tym też celu, zażądał od każdego z nas słowa honoru, a od służby uroczystej przysięgi, że nie ogłosimy drukiem, ani nie powiemy nikomu nic, coby mogło być wskazówką co do kierunku naszej wyprawy. Z tego powodu będę nieco niejasnym w moich opowiadaniach, i uprzedzam czytelników, że choć położenie miejsc na mapach, czy wykresach jakie niekiedy załączę, będzie prawidłowem, to jednak wskazówki kompasu zostały celowo splecione, tak aby nie mogły być pomocą w odszukaniu nowej krainy. Zmuszeni byliśmy przyjąć warunki profesora Challengeera, bez względu na to czy motywy podobnej tajemniczości były słuszne czy niesłuszne, gdyż w razie odmowy z naszej strony byłby raczej gotów porzucić wyprawę, niż w czemkolwiek je zmienić.

Drugiego sierpnia, żegnając „Esmeraldę”, zerwaliśmy ostatni węzeł łączący nas ze światem. Od tej chwili upłynęły cztery dni, w ciągu których, zaopatrzyliśmy się w dwa duże indyjskie czółna,

tak lekkie (zrobione są bambusu obciągniętego skórą), że przeniesiemy je na rękach przez każdą przeszkodę. Naładowaliśmy na nie wszystkie nasze pakunki, i wynajęliśmy jeszcze dwóch indjan do pomocy w żegludze. Zdaje się, że to ci sami. — Ataca i Ipofo, — którzy towarzyszyli Challengerowi w jego pierwszej podróży. Wydawali się przerażeni na myśl o powtórnem jej odbyciu, ale w tych krajach wódz plemienia, ma władzę patriarchalną i skoro transakcja wydaje mu się korzystną, podwładni nie mają głosu. A więc jutro wchodzimy w tajemnicze przestrzenie. List, ten który wysyłam przez łódź, odpływającą wdół rzeki, będzie moim ostatniem słowem do tych, co interesują się naszym losem. W myśl naszej umowy, adresuję do pana, drogi panie Mc Ardle, pozostawiając pańskiemu uznaniu, ogłoszenie go, lub zachowanie w szufladzie. Pomimo niezmiernego sceptycyzmu profesora Summerlee, wierzę, że Challenger dowiedzie nam prawdy swoich twierdzeń, i że wyprawa nasza zakończy się wiekopomnem odkryciem.

## ROZDZIAŁ VIII.

### *Na placówkach tajemniczego świata.*

Nasi przyjaciele w domu powinni cieszyć się wraz z nami, przebyliśmy bowiem pierwszy etap naszej wycieczki i jesteśmy w przededniu sprawdzenia twierdzeń Challengeera. Nie dostaliśmy się jeszcze na płaskowzgórze, ale leży ono przed nami i nawet zachowanie profesora Summerlee uległo pewnej zmianie. Nie dlatego aby przyznawał słuszność swemu rywalowi, ale stał się mniej skłonny do drwin, i coraz częściej zapada w długie milczenie. Muszę jednak cofnąć się w mem opowiadaniu do miejsca, w którym je przerwałem. Odsyłamy do domu jednego z naszych indjan, który się zranił; jemu to powierzam ten list, nie bez poważnych wątpliwości czy dojdzie według naznaczenia.

Urwałem moje opowiadanie na pobycie naszym w indyjskiej wiosce, dokąd doniosła nas „Esmeralda“; niniejszy list muszę rozpocząć złą nowiną, gdyż

dziś wieczorem zdarzyło się przykre zajście, (pomi-  
jam miczeniem nieustanne kłótnie dwóch profeso-  
rów) które mogło zakończyć się tragicznie.

Wspominałem już poprzednio o Gomezie, tym  
metysie, który tak dobrze włada angielskim; jest to  
dobry i chętny pracownik, lecz niestety odznacza  
się, powszechną wśród metysów wadą ciekawości.  
Wczorajszego wieczoru ukrył się koło namiotu,  
gdzieśmy debatowali nad dalszymi planami podró-  
ży, lecz został wyśledzony przez olbrzyma Zambo,  
który jest przywiązany do nas jak pies, a zarazem  
pała nieubłaganą, rasową nienawiścią do metysów.  
Otóż Zambo porwał za kark Gomeza i stawił go  
przed nami, Gomes zaś wyciągnął nóż i byłby bez-  
wątpienia zabił murzyna, gdy go ten, dzięki swej si-  
le, nie był rozbroił. Sprawa zakończyła się począt-  
kowo połajaniem, poczem dwaj przeciwnicy podali  
sobie ręce i miejmy nadzieję, że wszystko się zała-  
godzi.

Co do utarczek między uczonymi, to są one nie-  
ustanne i ostre. Trzeba przyznać, że Challenger  
jest w najwyższym stopniu zaczepny, natomiast  
Summerlee żgryźliwością swoją zaostrza wzajem-  
ne stosunki. Wczoraj wieczorem Challenger opo-  
wiedział nam, że nie lubi przechadzać się nad Tamizą,  
ze względu na przesąd, iż przy patrzeniu w rzekę  
można ujrzeć w jej głębi swoje przeznaczenie.  
Oczywiście, jest przekonany, że czeka nań opactwo  
Westminsterskie; Summerlee zauważył natych-

miast, iż ponieważ więzienie Millbank zostało już zburzone, nic więc nie usprawiedliwia obaw profesora. Zarozumiałstwo Challengeera jest jednak zbyt wielkie, aby mógł się uczuć naprawdę obrażonym, uśmiechnął się więc tylko i rzekł z pobłażliwą wzgardą „doprawdy, doprawdy!“ Są obydwaj jak dzieci; jeden uszczypliwy i uparty, drugi wyniosły i zarozumiały, a obaj obdarzeni niezwykłą wiedzą, która ich wyniosła na czoło współczesnej nauki. Im więcej poznaje się życie, tem głębiej widzi się przepaść między umysłowością, charakterem i duchem.

Następnego dnia rozpoczęliśmy prawdziwą wyprawę. Całe nasze mienie pomieściło się z łatwością w dwóch czółnach, a personel nasz podzielił się na dwie partje po sześć osób w każdej, bacznie, w interesach ogólnego pokoju, aby profesorem byli rozdzieleni. Ja jechałem z Challengeerem, który był w doskonałym humorze, promieniejąc szczęściem i milczącą ekstazą. Poznałem jednak już na tyle jego usposobienie, aby wiedzieć, że ten słoneczny nastrój może w każdej chwili przerodzić się w najokropniejszą burzę. Jeżeli jednak niepodobna czuć się całkiem swobodnym w towarzystwie profesora, to również i niepodobna się w niem i znużyć, gdyż w ciągłym naprężeniu nerwów oczekuje się zmiany, jaka zajść może w jego humorze.

Przez dwa dni płynęliśmy rzeką, szerokości kilkuset jardów, której wody były brunatne, ale tak

przezroczyste, iż widać było przez nie dno. Jedna połowa dopływów Amazonki, odznacza się taką wodą, podczas gdy druga, ma wodę białawą i mętną; różnica tu zależy od gruntów przez jakie przepływają. Brunatne potoki płyną łożyskiem zasłanem gnijącymi wodorostami, a mętna—przez gliniaste pokłady. Dwukrotnie natrafialiśmy na gwałtowne prądy, i za każdym razem musieliśmy przenosić czółna, nakładając drogi o jaką milę. Na szczęście lasy, przez które przechodziliśmy, są odwieczne, a wskutek tego łatwiejsze do przebycia, niż lasy młodsze, gesto poszyte. Nie zapomnę nigdy wrażenia jakie wywarły na mnie. Żyjąc w mieście nie wyobrażałem sobie nigdy aby pnie drzew mogły być tak grube, wysokość ich tak ogromna; strzelając w górę jak wspaniałe kolumny, kędyś, het, nad naszymi głowami spletały swe zielone konary w gęste sklepienie, przez które, rozpraszając uroczyستی półmrok, przedzierał się czasem złotawy promień słońca.

Szliśmy bezszelestnie po grubym, miękkim dywanie mchowym, a takie ukojenie spłynęło na nas, jakie się odczuwa w półmroku świątyni. Nawet donośny głos profesora Challengera zniżył się do szeptu. Nigdybym nie potrafił nazwać tych drzew, ale nasi uczeni wskazywali kolejno cedry, drzewa jedwabniste, drzewa bawełniane, jednym słowem całą różnorodność roślin, w które obfituje ten cudowny kraj. Śliczne orchidee, i wielobarwne mchy pięły się po czarnych pniach drzew, a zablakane promienie

słońca padały na złociste „allemandy“ purpurowe gwiazdy „taesonie“ i na błękitne „inomae“ tworząc obrazki wprost czarodziejskie. Życie, nienawidzące ciemności, rwie się w tych mrocznych głębinach uporczywie ku światłu. Nawet najdrobniejsze roślinki dążą ku niemu, pnąc się wokół pni swej mocniejszej braci. Pnące rośliny dochodzą tu do niezwykłej bujności, ale nawet te, które z natury pnąciami nie są, nauczyły się tu tej sztuki, uciekając z mrocznych cieni, tak że zwykły jaśmin, pokrzywy, a nawet polna „jacitara“ owijają się wokół pni cedrowych i dążą ku ich szczytom, do słońca.

Wśród otaczającej nas puszczy nie znaleźliśmy ani śladu zwierzęcego życia, lecz bezustanny szmer i ruch nad naszymi głowami zdradzał obecność węzów, ptaków i małą, które ukryte wysoko pod zielonem sklepieniem, musiały ze zdumieniem patrzeć wdół na nasze ciemne, drobne postacie, wędrujące w półmroku. O wschodzie i o zachodzie słońca rozlegał się chór małą, i ostry skrzek papug, lecz w czasie dziennego upału nic nie przerywało ciszy, prócz łagodnego brzęczenia owadów, podobnego do dalekiego rozgwaru fal, a wśród potężnych konarów drzew żaden ruch nie zdradzał życia. Raz jeden tylko cień jakiegoś niedźwiedzia, lub wielkiego mrówkojada, zamajaczył ciężko wśród spleatanych zarośli. Był to jedyny ślad zwierza, jaki spotkałem w tym olbrzymim lesie.

A jednak były wskazówki, że nawet życie ludz-

kie pulsowało niedaleko tych dzikich ustroni. Na trzeci dzień podróży usłyszeliśmy dziwnie głęboki, jakby łkający odgłos w powietrzu, który to zbliżał się, to znów oddalał. Czółna nasze płynęły za ledwie o parę jardów jedno od drugiego, a Indianie, pochwyciwszy ten dziwny odgłos, znieruchomieli jak gdyby się nagle zamienili w bronzowe posagi, i nasłuchiwali z wyrazem nieukrywanego przerażenia.

— Co to jest? zapytałem.

Bębny — niedbale odparł lord Roxton — bębny wojenne. Słyszałem je już nieraz dawniej.

— Tak panie, bębny wojenne — potwierdził Gomez — to dzicy Indianie „bravos“, a nie „manzes“, śledzą nas w drodze: zabiją nas jeśli im się to uda.

— Jakżeż oni mogą nas śledzić? — rzekłem, patrząc w ciemną, głuchą gęstwinę.

Metys wzruszył szerokimi ramionami.

— Indianie to potrafią. Mają na wszystko sposoby. Śledzą nas i dają sobie znaki bębnami. Zabija nas, o ile zdołają.

Popołudniu tegoż dnia — a jak wskazuje mój notatnik, było to we wtorek, 18 sierpnia — już siedem czy osiem bębnów nawoływało się z rozmaitych punktów. Niekiedy waliły szybko, to znów zwalniały tempo, jakby zadając sobie pytania, lub odpowiadając na nie; jeden daleko ze wschodu grzechotał, wysokim, urywanym tonem, drugi po niewnej



pauzie wtórował mu z północy głębokim basem. Było coś niewypowiedzianie wstrząsającego i groźnego w tym nieustannym pogwarze, który zdawał się układać w sylaby słów, wypowiedzianych przez metysa: „Pozabijamy was, jeżeli nam się uda. Pozabijamy was, jeżeli nam się uda“. Nic się nie zmieniło w milczącym lesie. Łagodna cisza i uroczysty spokój przyrody królowały w zielonej gęstwinie, z za której nieustannie dobiegał groźny szept ludzi. „Pozabijamy was jeżeli nam się uda“ — mówili na wschodzie. „Pozabijamy was jeżeli nam się uda“ powtarzali na północy.

Przez cały dzień bębny pomrukiwały i szeptały, a groźna ich mowa odbijała się na twarzach naszych kolorowych towarzyszków. Nawet śmiali, skłonni do przechwałek metysi, wydawali się zatrwożeni. Ale przekonałem się zarazem, że i Challenger i Summerlee odznaczają się ogromną odwagą, odwagą uczonych. Ta, która podtrzymywała Darwina wśród niebezpieczeństw w Argentynie, lub Wallace'go wśród ludożerczych plemion malajskich.

Dzięki mądrym nakazom natury umysł ludzki nie może zastanawiać się jednocześnie nad dwoma przedmiotami; tak, że umysł owładnięty ciekawością wiedzy, nie znajduje już miejsca na pospolite, osobiste względy. Przez cały dzień, przy nieustannym, a tajemniczym akompaniamencie pogróżek, nasi dwaj profesorowie obserwowali każdego przelatującego ptaka, każdy krzew nad wybrzeżem,

i, tak obojętnie, jak gdyby się znajdowali w palarni Royal Klubu, zamieniali między sobą uszczypliwe uwagi, w których złośliwość Summerlee ścierała się z agresywnością Challengega. Raz jeden tylko raczyli wspomnieć o grożącym niebezpieczeństwie.

— Kannibale ze szczepu Miranha albo Amajua — rzekł Challenger wskazując palcem brzęiący odgłosem bębnow las.

— I tak — odparł Summerlee — jak wszystkie te szczepy, używają oni prawdopodobnie narzecz polisyntetycznego i należą do rasy mongolskiej.

— Naturalnie, że polisyntetyczne — rzekł pobłaźliwie Challenger — wątpię aby jakie inne narzecz tu istniało, napotkałem ich bowiem przeszło sto, a wszystkie były polisyntetycznego typu. Ale na teorię przynależności do rasy mongolskiej zapatrują się bardzo krytycznie.

— Sądziłbym — zauważył zgryźliwie Summerlee — że nawet pobieżna znajomość anatomii porównawczej wystarcza do potwierdzenia tego faktu.

Challenger tak zaczepnie zadarł głowę, iż z pod brzegów jego kapelusza nie można było nic dojrzeć prócz brody.

— To też pobieżna znajomość istotnie doprowadza do podobnych konkluzji, albo głęboka do innych — rzucił.

Obaj spojrzeli na siebie niechętnie, a wkoło ro-

zlegał się szept: „Pozabijamy was jeżeli nam się uda“.

Na noc umocowaliśmy nasze czółna pośrodku rzeki, posługując się ciężkimi kamieniami zamiast kotwicy, i przygotowaliśmy się do możliwego ataku. Noc jednak minęła spokojnie i o świcie puściliśmy się w dalszą drogę, przy zamierającym poszpecie bębnow. Około trzeciej po południu natrafiliśmy na bardzo bystry prąd, ciągnący się przeszło milę — ten sam, który uniósł czółno Challengeera za jego pierwszą podróżą. Przyznaje, iż widok tego prądu ucieszył mnie szczerze, był to bowiem drobny, ale pierwszy fakt potwierdzający opowiadanie Challengeera. Indianie poprzenosili najpierw czółna, a potem pakunki po przez gęste zarośla wybrzeża, podczas gdy my, czterej biali, ze strzelbami w dłoni strześliśmy ich od niebezpieczeństwa ze strony lasu. Przed wieczorem wyminęliśmy szczęśliwie prądy i posunawszy się jeszcze o jakie dziesięć mil naprzód, zarzuciliśmy na noc kotwicę. Liczę, że zrobiliśmy ogółem nie mniej jak sto mil w górę rzeki.

Następnego dnia przedpołudniem weszliśmy dalej. Od samego świtu profesor Challengeer zdradzał żywe zaniepokojenie, i bezustannie rozglądał się po wybrzeżu. Nagle wydał okrzyk zadowolenia i, wskazując odosobnione drzewo, które wyłoniło się nad zakrętem rzeki, spytał:

— Co to za drzewo?

— Palma Assajska — odparł Summerlee.

— Tak jest. I otóż Assajską palme obrałem sobie za drogowskaz. Tajemnicze przejście znajduje się o pół mili stąd, po drugiej stronie rzeki; jest ukryte wśród drzew. W tem się mieści cały cud i tajemnica. Tam, gdzie zamiast ciemno-zielonych krzaków, widnieje jasno-zielone sitowie, znajdują w dalszym ciągu się wrota nieznaney krainy. Posuwajmy się naprzód a za chwilę sami się przekonacie.

Była to zaista prześliczna miejscowość. Dopłynawszy do sitowia przepchnęliśmy przez nie czołna na przestrzeni kilkuset jardów, i znaleźliśmy się nagle na spokojnym, płytkim strumieniu, toczącym czyste swe wody po piaszczystem dnie. Szerokość jego nie przechodziła dwudziestu jardów, brzegi jego pokrywała obfita roślinność.

Nikt patrząc zdaleka, nie mógłby się domyśleć jego istnienia wśród tych roślin, ani śnić o cudnej krainie poza nimi.

Bo kraina była istotnie cudowna — piękniejszej niepodobna sobie wyobrazić. Gęste gałęzie drzew spletały się w górze, tworząc sklepienie, ozlęcane łagodnym promieniem słońca. Kładł on się figlarnie na kryształowe wody strumienia, które piękne, same przez się, mieniły się w tym blasku wszystkimi barwami tęczy. Czyste jak kryształ, nieruchome jak tafła szklana, zielonkawe jak szczyt lodowca, leżały przed nami w tym cichym tunelu, a każdy ruch naszych wiosel posyłał wzdłuż

ich powierzchni tysiące różnobarwnych kręgów. Była to aleja prowadząca w krainę cudów.

Po indjanach nie pozostało ani śladu, natomiast coraz więcej spotykaliśmy zwierząt, a ich śmiałość zdradzała, że nie znają myśliwych. Małe zwinne małpeczki, o sierści czarnej jak aksamit, śnieżno-białych zębach i szydersko błyszczących oczkach, skrzeczały na nasz widok. Od czasu do czasu jakiś kajman z pluskiem pograżał się z brzegu w wodę, a raz ciemny ociężały tapir wyrzwał na nas z gęstwiny, poczem pośpiesznie schronił się do lasu. Raz także mignęło wśród zarośli płowe ciało wielkiej pumy, której zielone, złowieszcze oczy rzuciły na nas nienawistne spojrzenie. Było też całe mnóstwo ptaków, szczególnie błotnych: bocianów, czapli i ibisów. W niedużych grupkach, czerwonych, błękitnych i białych, zbierały się na każdym nadbrzeżnym pniu, a w pobliżu ich w kryształowej wodzie igrały ryby wszelkich kształtów i barw.

Trzy dni płynęliśmy przez ten cienisty, zielony tunel, którego wody zdawały się zlewać w oddali z jego sklepieniem. Żaden odgłos ludzki nie mącił tej uroczystej, głębokiej ciszy.

— Niema tu indjan. Strach przed Curupuri — rzekł Gomer.

— Curupuri jest to duch lasów — wyjaśnił lord John — oznacza on ducha zła. Biedacy ci myślą, że czai się on w tych drzewach i dlatego ich unikają.

Trzeciego dnia stało się jasnym, iż nasza podróż nie potrwa długo, gdyż strumień stawał się coraz płytszym. W ciągu dwu godzin utknęliśmy dwukrotnie na mieliźnie. Ostatecznie, wepchnawszy czołno między sitowie, zatrzymaliśmy się na noc na wybrzeżu. Nazajutrz rano lord Roxton i ja zapuściliśmy się na parę mil w las, idąc brzegiem strumienia, ale ponieważ stawał się on coraz węższym, zawróciliśmy aby oznajmić, że zgodnie z przypuszczeniem profesora Challengeera, znajdujemy się już na miejscu, skąd wszelka żegluga staje się niemożliwą. Wyciągnęliśmy więc czołno na brzeg, ukryliśmy je wśród zarośli i nacieliśmy siekarami pnie drzew, aby oznaczyć miejsce kryjówki. Poczem rozdzieliliśmy między siebie pakunki jak to: amunicję, zapasy żywności, namiot, pedy, broń i t. p. ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zaczęła się ona od kłótni naszych dwu uczonych; od chwili swego przybycia Challenger objął kierownictwo wyprawy, wydając wszystkim jej uczestnikom rozporządzenia, ku widocznemu niezadowoleniu profesora Summerlee. Doszło do wybuchu w tej sprawie w chwili, gdy Challenger obarczył go jakąś funkcją (choć było to zaledwie dźwiganie aneroida).

— Czy wolno mi pana spytać — rzekł Summerlee ze złowrogim spokojem — w jakim charakterze wydaje pan te rozkazy?

Challenger najeżył się cały i błysnął oczyma.

— W charakterze kierownika tej wyprawy — odparł.

— W takim razie jestem zmuszony panu oznajmić, że nie uznaję pana jako takiego.

— Czyżby? — skłonił się Challenger z niewypowiedzianym szyderstwem — a więc może pan zechce łaskawie określić moje stanowisko.

— Owszem. Jest pan na stanowisku człowieka, którego prawdomówność podano w wątpliwość i komitet tu obecny ma tę sprawę zbadać. Znajduje się pan wśród swych sędziów.

— O do licha — rzekł Challenger, stając na brzegu czółna — w takim razie pójdziecie panowie swoją drogą a ja swoją. Jeżeli nie jestem kierownikiem, to trudno wymagać odemnie abym kierował wyprawą.

I gdyby ekspedycja nasza nie liczyła dwóch ludzi przy zdrowych zmysłach — Roxtona i mnie, — którzy załagodzili spór dwóch mędrców, byłibyśmy wrócili do Londynu z pustemi rękoma. A ile musieliśmy zużyć słów, argumentów i wyjaśnień! Wreszcie Summerlee, z nieodłączoną fajką i z szyderczym uśmiechem na ustach, szedł naprzód, a Challenger potoczył się za nim, głośno mruczając. Na szczęście, udało nam się odkryć, że obaj nasi uczeni byli jaknajgorszego zdania o dr. Illingworthle z Edynburga; od tej chwili szkocki zoolog stał się naszym ratunkiem; imię jego rzuca-

w toku najbardziej naprężonej dyskusji, łączyło naszych dwóch profesorów w chwilowej napaści na wspólnego wroga.

Wydłużonym szeregiem posuwaliśmy się wzdłuż strumienia, który zwał się coraz bardziej aż wreszcie zginał zupełnie, wśród porosłego gąbczastym mchem trzęsawiska, w którym zapadaliśmy się po kolana. Chmury moskitów i innych owadów unosiły się nad tem trzęsawiskiem, tak że byliśmy szczęśliwi, wydobywszy się zeń wreszcie, i, nakładając drogi, okrażyliśmy je lasem. Głośne brzęczenie owadów unosiło się nad niem, jakby głos nieustających organów.

W drugim dniu naszej podróży charakter okolicy uległ zmianie. Szliśmy wciąż pod górę, a w miarę drogi las przeredzał się coraz bardziej a roślinność jego była mniej obfita. Olbrzymie drzewa, rosące na równinach Amazonki, ustąpiły miejsca palmom kokosowym, rosącym kępami, między którymi ciągnęły się gęsto zarośla. Na wilgotniejszych stokach widniały rozłożyste palmy *Mauritia*. Kierowaliśmy się ściśle według kompasu, i raz czy też dwa razy, wynikło nieporozumienie między Challengerem a dwoma indjanami, gdy według pełnych oburzenia słów profesora „całe towarzystwo okazało więcej ufności w zwodniczy instykt dzikusów, niż wiary w kompas, w ten najwyższy produkt europejskiej kultury“.

Okazało się jednak po kilku dniach, iż postępu-



jąc tak, mieliśmy słusność, gdyż sam Challenger przyznał iż rozpoznaje ślady poprzedniej swojej podróży, a w jednym miejscu natrafiliśmy na cztery, zczerniałe od dymu kamienie, pozostałe najwidoczniej z dawnego obozowiska.

Grunt wciąż się podnosił; dotarliśmy do skalistego zbocza, na które wspinaliśmy się przez dwa dni. Roślinność znów się zmieniała, napotykalismy już jedynie drzewa dające roślinną kość słoniową, a między nimi rosła olbrzymia ilość cudownych orchidei. Nauczyłem się rozpoznawać ich rozmaite gatunki a mianowicie: szkarłatne i różowe kwiaty, odontogloseum i rzadkie okazy *Nuttinia Vexillaria*. Gdzieś niedaleko w ramach malowniczych wybrzeży, spadały z gór bystre potoki, nad którymi rozbijaliśmy naszą obozowisko, łowiąc w ich wodzie niezwykle smaczne, błękitnawe ryby, podobne z kształtu i rozmiaru do naszych pstrągów.

Na dziewiąty dzień pieszej wędrówki, zrobiwszy blisko sto dwadzieścia mil, zaczęliśmy wydobywać się z lasu, który rzednąc coraz bardziej, zmienił się stopniowo w gęste zarośla. Przebywszy je, napotkaliśmy gaj bambusowy, tak gęsty, że musieliśmy wyrabywać w nim przejście. Zajęło nam to cały dzień od siódmej rano do ósmej wieczór, z dwoma tylko, godzinnymi wycieczkami. Trudno wyobrazić sobie coś również monotonnego i męczącego, nawet na miejscach stosunkowo otwartych horyzont nie sięgał dalej dziesięciu czy dwudzie-

stu łokci, a przeważnie widok mój ograniczał się do pleców lorda Roxtona, pracującego przedemną i do żółtawej ściany bambusów, ciągnących się po obu bokach. Ich kiły kotływały się na tle błękitnego nieba o piętnaście stóp nad naszymi głowami, sącząc waziutkie pasemko słońca.

Nie wiem jakiego rodzaju zwierzęta zamieszkują te trzcinowe łąszcza, ale kilkakrotnie słyszeliśmy w pobliżu nurkowanie jakichś ciężkich ciał. Lord Roxton osadził z oddechów, iż była to jakaś odmiana dzikiego bydła.

Przed samą nocą wydobyliśmy się z gestwiny i, wyczerpani całodzienną robotą, udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz wczesnym rankiem byliśmy już na nogach. Charakter okolicy znów się zmienił; poza sobą mieliśmy ścianę bambusowa, a przed nią ciągnęła się płaszczyna, podnosząca się nieznacznie w górę, porośnięta kępami drzewiastych paproci, i okolona w oddali długim falistym łańcuchem wzgórz. Dotarliśmy do nich około południa, a przebywszy je, znaleźliśmy się znów na równinie, podnoszącej tak jak i poprzednia, łagodnie w górę.

Przy wdzieraniu się na wzgórze zaszedł wypadek, być może drobny, być może bardzo doniosły. Oto profesor Challenger, który wraz z dwoma Indianami tworzył czoło partii, zatrzymał się nagle i z uniesieniem począł coś wskazywać. Na prawo, w odległości mniej więcej mili, ujrzelśmy coś co

przypominało olbrzymiego szarego ptaka, i co uniosło się zwolna z ziemi aby, frunąć nisko i równo, i zniknąć między drzewami.

— Czyście widzieli? — krzychał Challenger rozpromieniony — Summerlee, widział pan?

Profesor Summerlee wpatrywał się w miejsce gdzie znikło szare zjawisko.

— Cóż to było według pana? zapytał.

— Pterodaktyl, bez żadnych wątpliwości.

Summerlee wybuchnął drwiącym śmiechem.

— Ptero — głupstwo! — odparł — prawdopodobnie był to bocian.

Złość odebrała Challengerowi mowę: zarzucił więc tylko swój ładunek na plecy i ruszył dalej. Ale lord John podszedł do mnie z niezwykle poważnym wyrazem twarzy. W rękę trzymał połowę lunetę.

— Obejrzałem tego ptaka zanim zniknął wśród drzew. — rzekł — nie mogę powiedzieć co to było, ale daję moje słowo sportsmena, że nie był to żaden z ptaków, jakie kiedykolwiek oglądałem.

Tak więc się mają rzeczy. Czyżbyśmy istotnie byli na forpocztach tego świata, o którym opowiadał nasz kierownik? Z tego co zaszło dowie się pan tyleż co i ja. Incydent ten był właściwie jedynym, gdyż dotychczas nie widzieliśmy nic niezwykłego.

A teraz, mili moi czytelnicy (jeżeli wogóle istnieje) pokazałem wam szeroką rzekę, puszcze leśną, zielony tunel wodny, gęstwinę bambusową.

i równinę drzewiastych paproci. Cel naszej podróży leży tuż przed nami. Przebywszy bowiem drugie pasmo wzgórz, ujrzeliśmy przed sobą, płaszczynę usianą palmami, a okoloną grzbieciem czerwonych skał. Tę płaszczynę, którą widziałem na rysunku amerykańcina; oto leży przedemną i poznałem ją od pierwszego spojrzenia. Najbliższa ze skał znajduje się o jakie siedem mil od naszego obozu, a łańcuch ich ciągnie się nieprzerwanie, ginąc w oddali. Challenger puszy się jak kogut. Sumnerlee milczy, ale jeszcze niedowierza. Kto wie czy jutrzejszy dzień nie położy końca jego wątpliwościom.

Co do mnie korzystam, iż José, któremu ścięty bambus, padając, potłukł ramię, upiera się wrócić, i posyłam przezeń ten list. Mam nadzieję, że dojdzie do pana. Przy najbliższej okazji dam znowu znak życia. Przy niniejszej załączyłem pobieżną mapę, która może nieco wyjaśni perypetje naszej podróży.

---

Koniec tomu pierwszego.